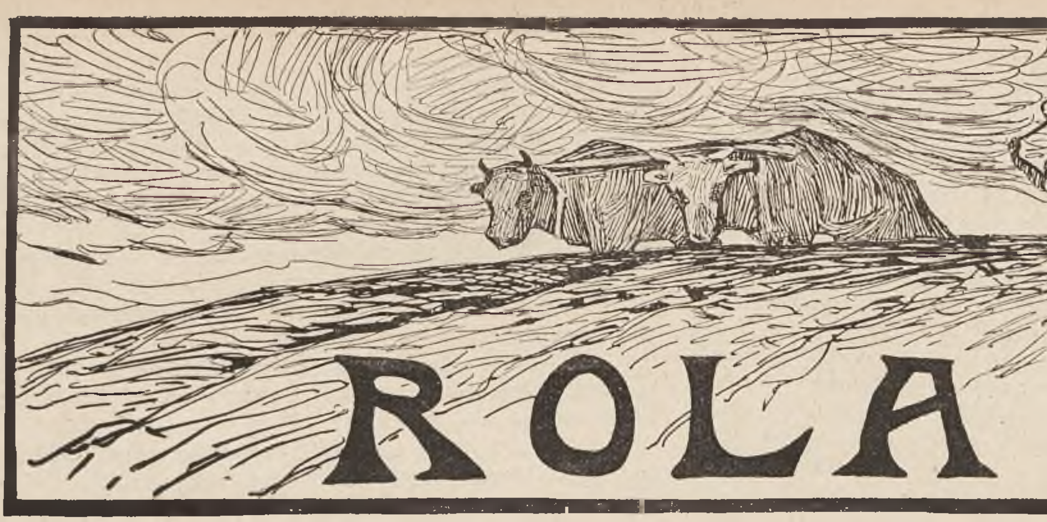



Rok V.
Kraków, dnia 18 czerwca 1911 r.
Nr. 25.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Przedpłata:** Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

# BOŻE CIAŁO.

Dzień wstał jasny — a taki słoneczny, że aż patrzeć trudno. Wszędy pełno słonecznego blasku. Szary, ubogi kościółek wiejski umaił się zielenią i patrzy radośnie na tę Bożą czeladkę, co się tak garnie ku niemu z ufnością. Otworzył szeroko podwoje i jak kokosz kurczęta tak pisklęta swoje zgarnia, a zgarnia.

Dziewczęta mają ołtarze pod figurami; mają gałęźmi, zielenią, kwiatami i ku słońcu się śmieją; radeby zaśpiewać, jako zwyczajnie przy robocie, ale nie można.

Na procesyi dobędą głosu i zaśpiewają hej, tak z serca do serca, z duszy do duszy...

...Zahuczały dzwony, zagrzmiały organy!

Pleban staruszek podniósł monstrancyę. Lud się zakołysał, jak łan pod wichurą i legł pokotem przed Panem nad pany.

Z prostaczych serc wydarł się śpiew:

**„U drzwi Twoich stoję Panie!...“**

I brzmi pieśń, bije pod strop kościółka, aż się ściany trzęsą od wielkiego huku, a w piersiach drżą serca od wielkiego nabożeństwa...

Chylą się głowy ludzkie jako i te łany zielone pod żywym wiatru podmuchem. A z serc ludzkich idzie wiew święty, gorący:

**„Czekam na Twe zmiłowanie“.**

Biją dzwony, a z ludzkich piersi leci pieśń pod niebo lazurowe. A słoneczko świeci i blask swój zlewa na złotą monstrancyę, że zda się drugie słońce pod baldachimem świeci.

Chylą kornie główki kwiaty, a bujne zielenią drzewa zginają w pokłonie konary,

**bo „w Hostyi jest Bóg żywy,
choć ukryty lecz prawdziwy“.**

I leci pieśń święta z serc ludzkich, a głosy ludzkie tarzają się w prochu; a serca ludzkie kochają, a ludziska wierzą, że w tej postaci chleba — to Bóg

**„święty, mocny, nieśmiertelny,
w majestacie Swym niezmierny“...**

W swej zaś wierze ten lud prostaczy gotowy na wszystko! Jakby co do czego — to jest! Niechby tak trzeba było męki, jak to w »Żywotach Świętych« czytali — nic to — choćby zaraz! A jakby kto tej świętości nad świętościami miał bluźnić lub urągać — to kosa do garści i na wojnę za swą wiarę gotów!

Idzie Pan Jezus przez wieś i pola, a ludziska śpiewają a śpiewają... Przyszli do ołtarza...

...Naraz cisza, jak makiem zasiał; pada naród na kolana, głowy się chylą ku ziemi.

Stary pleban podniósł monstrancyę i błogosławi ludziom i niwom i lasom i słońcu i ptaszkom i wszelakiemu stworzeniu.

I jakaś niewypowiedziana błogość przejęła ludzi.

* * *

Na Rynku krakowskim stanęły cechy. Każdy z braci dzierży białą świecę w ręku. Tak, jako ojcowie, stary obyczaj zachowują. Cechowe chorągwie barwami do słońca się mienią.

A cały plac w środku zaległo mrowie ludzkie.

Zagrzmiały dzwony we wszystkich świątyniach prastarego grodu. A »Zygmunt« na wawelskiej wieży, co dawne, dawne lata pamięta — prym wiedzie.

Ruszyła procesya z powagą i majestatem. Pod baldachimem ze złotogłowiu idzie biskup w koronacyjnej kapie królewskiej z mieniącą się od dyamentów w słońcu monstrancyi.

Stanęli u ołtarza. Umilkły dzwony. Biskup wzniósł monstrancyę i błogosławić począł. Poklękały bractwa i cechy, a tłum stał i patrzał.

Huknął strzał. Wojsko dało salwę. Zerwało się trwożnie zagnieżdżone w starych murach ptactwo.

A pośród tłumu tu i ówdzie zachichotały pannice i wyblakli młodzieńcy... Socyalizm wyssał im wiarę.

Te tłumy nie widziały pól zielonych, ani sinych lasów, jawnych tworów Boga. W ciasnych murach, dziele ręki ludzkiej one wyrosły... I zaschły ich serca dla Boga.

# U stóp Zbawiciela.

## Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—x—

### 4. Cud.

Z początku niewielu przechodniów widać było na drodze, lecz około czwartej godziny wdowa i piastunka ujrzały moc ludzi, schodzących z góry Oliwnej i zauważyły, że wszyscy nieśli w ręku świeże gałęzie palmowe. Z przeciwnej strony, od wschodu, wiatr przyniósł im gwar i szum tysiąca głosów. Były one zapowiedzią drugiej, liczniejszej jeszcze rzeszy.

— Co to za hałas? — zapytała rozbudzona nim Tirzah.

— *On* nadchodzi — odparła matka — patrz, ten tłum wyszedł na Jego spotkanie, a stamtąd nadciąga drugi, który towarzyszy Mu w drodze do Jeruzalem. Zapewne spotkają się tutaj.

— Och! to nas zagłuszą. Słowa nasze nie dolecą do Niego. Jakże wołać mamy? — pytała Amry.

— Trędowaty mówił do Niego: »Panie, miej litość nademną!« Inni wołali: »Mistrzu, ulituj się!«

— Tylko tyle?

— Nic więcej.

— A jednak to starczyło?

— Tak, Judah mówił, iż odchodzili uzdrowieni.

Tymczasem tłum, idący od strony wschodniej, zbliżał się. Wśród ludzi kobiety dojrzały Męża w białych szatach i z odkrytą głową. Jechał na oślicy. Oczy utkwione miał przed siebie. Słońce, odbijając się w złocisto kasztanowatych jego włosach, wieńczyło je jakby koroną.

I choć nikt nie ukazał go trędowatym niewiastom, poznały odrazu, że to *On*, cudowny Nazareńczyk. Poza nim, jak oko mogło dojrzeć, ciągnęły tłumy. Od śpiewów ich rozbrzmiewała cała dolina.

— To On, Tirzo, to On! Podejdźmy bliżej! — wołała matka.

Mówiąc to, postąpiła naprzód i upadła na kolana. Córka i stara niewolnica uklękły obok niej. Pochód, co szedł od strony miasta, ujrzawszy tamten drugi, postępujący naprzód, powiewał w górę gałęźmi palmowemi i śpiewał jednym potężnym chórem:

*»Hosanna Synowi Dawidowemu! Hosanna Królowi Izraelskiemu, który idzie w imię Pana!«*

A ci, co postępowali w orszaku Nazareńczyka, odpowiadali tą samą pieśnią, aż zadrżało od niej powietrze i odbijając, rzuciło ją o ściany wąwozu. W tym nieopisanym zgiełku, wołanie trędowatych zginęło, jak świegot ptaków wśród burzy.

Chwila jeszcze, a cała nadzieja ratunku będzie stracona na zawsze.

— Bliżej, dziecko moje, jeszcze bliżej — mówiła wdowa. — Nie może nas usłyszeć z takiej odległości.

Wysunęły się prawie na sam brzeg skały i, poranione ręce wznosząc do góry, matka wielkim głosem przyzywała Jego zmiłowania.

— Trędowate! trędowate! — wołano w tłumie, dojrzawszy te odrażające postacie.

— Ukamienować je!

— Przeklęte od Boga! Smierć im!

Wśród bezlitośnej tej ciżby było jednak sporo ludzi, którzy przez dłuższe obcowanie z Mistrzem przejęli się jego miłością bliźniego. W milczeniu patrzyli, jak zbliżał się do nieszczęśliwych kobiet i stanąwszy u stóp skały, wstrzymał chód oślicy.

Spojrzenie jego słodkie, pełne litości i miłosierdzia, spoczęło na nich.

— Mistrzu! Mistrzu! — zawołała wdowa. — Ty widzisz naszą nędzę. Ty jeden możesz uczynić nas czystemi. Ulituj się!

— *Wierzysz-li, że mocen jestem to uczynić?*

— Ty jesteś Ten, którego zapowiadali prorocy. Wierzę, jako jesteś Mesyaszem.

— *Niewiasto! wielką jest wiara twoja. Stanie się wedle twych życzeń.*

Wzrok Jego litościwy przez chwilę spoczął na niej.

— Chwała Panu na Wysokościach! Błogosławiony, błogosławiony po trzykroć Syn, którego On nam zesłał! — wołała z żywą wiarą.

Lecz w tejże chwili otoczył Go tłum, idący z Jeruzalem i witał radośnie, śpiewając: »*Hosanna Synowi Dawidowemu!*« i słał mu do stóp gałęzie palmowe. Wkrótce słodka postać Nazareńczyka zniknęła z przed oczu trędowatych kobiet na zawsze.

Klęczały dopóki nie ucichł w oddali odgłos radośnych okrzyków rzeszy.

— Córko! — zawołała wdowa, biorąc Tirzę w ramiona. — Jesteśmy uleczone! jesteśmy czyste! Albowiem On jest Mesyaszem i mocen jest czynić cuda wielkie.

Zaledwie wymówiła te słowa, aż oto w sercu ich poczęła krążyć krew nowa i biegła coraz szybciej, niosąc zdrowie gnijącym członkom. I zabliźniały się ich rany, odpadały strupy. Było im, jakby zażyły kordyału, co w jednej chwili uleczył ciało ich i duszę. Z dziękczynieniem dla Zbawcy wyrywała się ona ku nowemu życiu i radościom jego, zapominając o przeszłych cierpieniach.

Nie upłynęło nawet tyle czasu, ile potrzeba, aby opowiedzieć to słowami, a były zdrowe, jak wprzódy, zmienione tylko o tyle, o ile 16 lat, przebytych w największej nawet rozkoszy, musi pozostawić ślady.

Oprócz Amry, był jeszcze inny świadek tej przemiany.

Czytelnik przypomina sobie zapewne, iż Ben-Hur towarzyszył Nazareńczykowi we wszystkich Jego pochodach i wędrówkach. Był on i teraz w orszaku, idącym z Bethfage. Widział jak trędowata niewiasta ukazała się na skale, słyszał jej błagalne wołanie i odpowiedź Mistrza, a choć nieraz w jego oczach działał on cuda, lecz ta moc uzdrawiania, budząca zawsze najwyższy podziw w młodym Izraelicie, zastanawiała go teraz ze względu na posłannictwo Tego, co w oczach jednych był Zbawcą — w oczach drugich królem. Odłączył się zatem od innych i usiadł na kamieniu, czekając aż sprawdzą się słowa Pana.

Niewiasty były mu zupełnie obce, lecz przyglądając im się, wzrok Judy padł na twarz towarzyszącej im staruszki.

— Na Boga żywego! Toż to Amrah! — zawołał zdumiony.

Wstał z ziemi i wdrapując się zwinnie na urwisko, zbliżył się do niej, a choć przechodził tuż obok matki i siostry, nie poznał ich wcale.

— Amrah! co ty robisz tutaj? — spytał ją.

Przypadła mu do kolan, zaledwie mogła mówić z radości.

— O panie, panie! — bełkotała. — Jakiż potężny i miłosierny Bóg wasz, w którego i ja uwierzyłam już.

Ben-Hur, widząc to jej wzruszenie, tknięty został przeczuciem. Odwrócił się ku tamtym niewiastom, a właśnie w tej chwili podnosiły się z kolan. Odwrócił się — i stanął jak skamieniały.

Kobieta, przed chwilą tak odrażająca, zmieniła się w piękną, poważną matronę. Już samo to przei-

stoczenie mogło wzbudzić podziw, lecz była ważniejsza jeszcze przyczyna jego wzruszenia.

Kobieta owa była żywym obrazem jego matki, włosy jej tylko przyprószyła siwizna i kilka zmarszczek zaznaczyło bieg lat na rozumnem a tak łagodnem obliczu. Obok niej stała druga, jakby Tirzah, również piękna dziewica, jak pięknem było dziewczę, co w dniu katastrofy przypatrywało się pochodowi rzymskich legionów.

Ben Hur miał je obie za umarłe i powoli oswoił się był z ich stratą, a choć w sercu nosił po nich żałobę, lecz inne cele, inne uczucia zatarły boleść pierwotną.

Teraz nie wierzył własnym oczom.

— Amro, matkaż to moja i Tirzah? — pytał Egipcyanki.

— One to zaiste!

— Matko najdroższa! siostro! To ja! — zawołał, biegnąc ku nim z wyciągniętemi ramionami.

Chciały się rzucić w jego objęcia. Lecz wdowa cofnęła się nagle.

— Stój! nieczyste! nieczyste! — zawołała.

I nie z przyzwyczajenia to wyrwał się jej ten okrzyk, lecz z macierzyńskiej troskliwości i obawy, w sukniach mogły zostać ślady zarazy.

Judah wszelako nie zważał na nic.

Za chwilę ci troje, po tak długiej rozłące, we wspólnym uścisku przelewali łzy radości.

— Ukochani moi — rzekła wdowa, gdy minęło pierwsze wzruszenie. — Zacznijmy nowe życie od oddania czci Temu, co nam je przywrócił.

Upadli na kolana i matka odmówiła głośno psalm dziękczynny, Tirza powtarzała za nią słowa modlitwy, Ben-Hur szeptał je także, lecz nie był przejęty taką, jak one wiarą. A że dawne chłopięce zaufanie do matki odżyło w jego sercu, więc pytał ją:

— W Nazaret, gdzie mąż ten się narodził, powiadają, iż jest synem cieśli. Za kogo ty go masz?

Odparła mu to, co przed chwilą Nazareńczykowi.

— Wierzę, iż jest Mesyaszem.

— I skądże ma tę moc czynienia cudów?

— Czy użył jej kiedy na złe?

— Przenigdy!

— W tem szukaj odpowiedzi. Moc ta dana mu jest od Boga.

Ben-Hur popadł w zadumę. On w synu cieśli wolałby widzieć zdobywcę, niźli sprawcę cudów.

Rzecz prosta, matka pomyślała pierwsza o troskach powszedniego życia.

— I dokądże udamy się teraz? — zagadnęła Judhę.

Ocknął się ze swego zamyślenia.

Suknie Tirzy były podarte, przezierało przez nie dziewicze ciało. Spostrzegł to troskliwy brat, zdjął więc swój płaszcz i zarzucił go jej na ramiona.

Ruchem tym odsłonił miecz, zawieszony u boku.

— Czy czasy są wojenne? — pytała matka z niepokojem.

— Nie.

— Więc pocóż ten oręż?

— Może mi być potrzebny w obronie Nazareńczyka — odparł wymijająco.

— Miałżeby i on nieprzyjaciół? Ha? Rzymian zapewne!

— Niestety, matko, nie samych tylko Rzymian.

Slepa zaciętość i ciasność poglądów nauczycieli Synagogi dobrze była znana wdowie Hura. Lecz nie była to pora do dysputy i roztrząsania.

Należało obmyśleć schronienie, zanim, stosując się do przepisów Zakonu, będą mogły obie z Tirzą powrócić do świętego Miasta.

Puścili się tą samą drogą, co przed kilku godzinami, lecz jakże innym był ten pochód!

Znalazłszy nowy zupełnie grób nad brzegami Cedronu, kobiety pozostały w nim tymczasowo; Ben-Hur udał się do Jerozolimy, aby urządzić im wygodniejsze pomieszczenie.

### 5. Pielgrzymi ze stron dalekich.

Ben-Hur kazał rozbić dwa namioty nad Cedronem, opodal Grobów Królewskich i urządził w nich wygodne mieszkanie dla matki swej i siostry. Miały tam pozostać dopóki kapłani nie uznają ich za zupełnie czyste. Tak nakazywało prawo. Zajęcia te pozbawiły go udziału w obchodzie święta Praśnego chleba, nie spełniwszy bowiem przygotowawczych obrzędów, nie mógł wejść do świątyni. Z konieczności — a konieczność ta była mu miłą — spędzał cały czas w namiotach na długich rozmowach z ukochanymi.

Opowiadania o tylu latach cierpienia nieprędko się wyczerpują.

Judah słuchał ich z udanym spokojem, lecz każde słowo wzmagało w jego duszy nienawiść do Rzymian, albowiem każde było echem krzywdy, wyrządzonej jego najbliższym.

Wiele szalonych pomysłów przesuwało się przez rozgorączkowaną głowę młodzieńca a wszystkie jego nadzieje skupiały się na Nazareńczyku. Zdało mu się, że słyszy odezwę jego do narodu:

»Jam jest król wasz, obiecany od Boga! Otrząśnijcie się z pęt niewoli, imajcie się oręża. Ja jeden mocen jestem zapewnić wam panowanie nad światem«.

Takie to marzenia snuły się po głowie młodzieńca, a tymczasem wzdłuż łożyska Cedronu i drogi prowadzącej do bramy Damaszku, pielgrzymi, przybywający na święto Paschy, wznosili baraki i namioty.

Ben-Hur odwiedzał ich często i rozmawiał z nimi długo. Byli tam przybysze ze wszystkich stron świata.

Do namiotów nad brzegiem Cedronu zaglądali często mężowie o ogorzałem obliczu i potężnych barach, pytając o Ben-Hura. Prowadził z nimi długie rozmowy, a zawsze na osobności. Gdy go matka zapytywała, co to byli za jedni, odpowiadał wymijająco:

— To dawni moi przyjaciele z Galilei.

A działo się to pomiędzy dwudziestym pierwszym i dwudziestym piątym dniem marca, licząc według naszego kalendarza. Wieczorem ostatniego dnia Ben-Hur nie mógł już dłużej zapanować nad swą niecierpliwością, chciał przekonać się własnemi oczyma, jak stoją rzeczy i za nadejściem zmroku wyruszył do miasta, obiecując powrócić w nocy.

W drodze tylko soczyste oczy winnej macicy spoglądały na jeźdźca i na rumaka. Nigdzie, na całej przestrzeni nie było widać męża, dziecka, ani niewiasty. Domy stały puste, przed namiotami wygasły ogniska — wszystko co żyło cisnęło się w mieście. Była to bowiem wigilia Paschy.

W przedsionkach świątyni zabijano ofiarne baranki, pod dymiącą ich krew kapłani podsuwali czary i, napełniwszy je, lali na ołtarze. Panował gorączkowy pośpiech, albowiem wszystkie przygotowania musiały się ukończyć przed zejściem na niebie pierwszej gwiazdy, zwiastunki wesołych uczt i śpiewów.

### 6. Wąż z nad Nilu.

Ben-Hur, zostawiwszy Aldebarana w starym »khanie«, gdzie przed laty trzydziestu z górą, trzej mędrcowie zatrzymali się byli w drodze do Betleem, podążył pieszo do pałacu Hurów. A skoro tylko tam stanął, pierwszą jego myślą było słać pozdro-

wienie Baltazarowi, lecz w istocie chciał córce jego dać znać o swem przybyciu.

Jakoż nie czekał długo. Jednocześnie z oznajmieniem służebnego, iż Egipcyanin, czując się niezdrowym i zmęczonym, przyjąć go nie może, Iras ukazała się we drzwiach komnaty. Biegł, aby ją powitać namiętnym uściskiem, lecz zatrzymał się wpół drogi — Iras dziwnie była zmieniona.

Dotąd otaczała go miłością i zachwytem, teraz całkiem była inną. Stała dumna i obojętna.

Pierwsza przerwała milczenie.

— Przybywasz w sam czas, synu Hura — odezwała się głosem ostrym — chcę ci podziękować za gościnność.

Ben-Hur skłonił się, nie odrywając od niej oczu.

— Słyszałam — rzekła — iż po skończonej grze w kości, gracze przeglądają swe tabliczki i obrachowawszy się, składają libacye bogom, a wieniec na skronie zwycięzcy. My także prowadziliśmy grę — trwała ona wiele dni i nocy. A teraz żegnaj na zawsze. Możesz ze mną zrobić, co ci się podoba.

Słuchał ze zdziwieniem słów tych Ben-Hur, ale w ciągu dalszej rozmowy poznał, że piękna Iras zwodziła go tylko swą miłością, a sądząc, że Messala jest bogatszym od Judy, postanowiła z tym ostatnim zerwać zupełnie. Nie zatrzymywał jej wcale, ale gdy jeszcze raz rzekła:

— Żegnaj na zawsze przeprowadził ją do drzwi i z przesadną grzecznością podniósł dla niej zasłonę.

— Pokój tobie! — rzekł, gdy dumna i wzgardliwa przestępowała próg komnaty.

### 7. Ben-Hur powraca do Estery.

Ben-Hur wychodził z wielkiej sali pałacu nie tak lekkim krokiem i nie z tak radosnem sercem, jak tam podążał przed godziną. Przez tyle lat jak głupiec szedł na przynętę wdzięków tej kobiety, udanej jej miłości i pochlebstwa; oddawał w jej ręce siebie i swoich i ani na chwilę nie przyszło mu na myśl, że mogła być szpiegiem Messali.

— Ach! — zawołał, tknięty nagle nową myślą — ta schadzka w pałacu Ildernee! Rozumiem teraz! rozumiem!

Cierpiała w nim głównie miłość własna, a na szczęście rany takie nie są groźne i zabliźniają się szybko. Gniew głuszył w jego sercu wielkie inne uczucia, gniew przeciwko tym obojgu, co tak haniebnie zmówili się na jego zgubę.

— Czy tylko ich dwoje było w tym spisku?

Przez chwilę gotów był posądzić Baltazara, lecz dobry instynkt wziął górę nad rodzącą się nieufnością.

— Nie, to niepodobna — mówił sobie. — Starzec ten niezdolny jest do zdrady.

I jakby się pozbył wielkiego ciężaru, lżejszym już krokiem szedł tam, gdzie go czekało serce czyste, jak łza dziecięcia i kochające go szczerze, szedł gdzie zwykle Simonides przebywał o tej porze ze słodką swą córką, na dach starego domostwa. Oświetlał go miesiąc w pełni, lecz światło jego bledło przy łunie tysiąca ognisk, rozłożonych w mieście i okolicy. Spiewano przy nich psalmy króla-piewcy, a w dźwięku tych słów, w ich uroczystym nastroju, Ben Hur czuł, iż lud ten skarży się na swą dolę, że w każdej chwili gotów jest zrzucić jarzmo. Niech jeno ukaże się Gedeon lub jaki nowy Machabeusz, a wszyscy staniemy pod jego sztandarem!

Lecz, jakby w przeciwstawieniu okrzykom bojowym, stanął mu przed oczyma Nazareńczyk.

Nie wojnę, zaiste, zwiastowało jego spojrzenie, patrzyło na świat, jak w noc letnią spoglądają niebiosa, niosąc ciszę i spokój dokoła. Nie słodki ów mąż powoła do broni te ręce, targające okowy, lecz ktoś uczynić to musi. I czemużby nie on, syn księcia Hura?

— Dość mi będzie dać hasło — myślał sobie — aby Galilejczycy porwali się do boju, za ich przykładem pójdzie ziemia Judzka, a Bóg, sprawiedliwość i zwycięztwo będą po stronie wybranego ludu.

Zatopiony w swych myślach, sam nie wiedział jak i kiedy stanął przed krzesłem Simonidesa. Zamiast starca, przytulona do kącika, spoczywała w nim Estera. Włosy spadały w nieładzie na drobną jej twarzyczkę, zabłąkana łezka świadczyła, iż wśród rzewnego płaczu sen zapadł na jej powieki.

Ben-Hur oparł się o wysoką poręcz i stał zamyślony, przypatrując się jej z lubością.

— Jakże słodkiem — mówił sobie — jest to dziecię Izraela, jak niepodobnem do Egipcyanki. — W tamtej wszystko tchnęło obłudą — w tej prawdą; tamtej godłem jest pycha — tej obowiązek; tamtą kochałem zmysłami jeno — tę całem sercem. Lecz ona, zechceż przebaczyć mi moje szaleństwo? zechceż kochać mnie nawzajem? Tam, w Antyochii, pocałowałem ją przy rozstaniu. Czy ona też to pamięta?... Nie, nie chcę przerywać jej snów dziewiczych. Śpij, córo Izraela, śpij — towarzyszko przyszłych dni moich...

I rzucając tęskne spojrzenie, odszedł cichutko, aby nie zamącać jej marzeń sennych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Powstań orle!

Powstań orle! — orle biały!
I nad Piastów gród,
Wyleć wolny i wspaniały
Budzić polski lud.

Niechaj strząśnie pleśń niemocy
I do pracy wraz
Spieszy rychło, bo już Polskę
Oswobodzić czas!

Czas wyrwać ją z pęt niewoli,
Zniszczyć srogi knut,
Którym straszna ręka wroga
Smaga polski lud.

I w Sybiru srogie lody
Hen! tam w śnieżną dal
Przepłynęli i — wciąż płyną
Nakształt morza fal...

Ach! wyliczyć już nie można
Ile łez i krwi
Chłonie w sobie rola zbożna...
Gdzie potem plon tkwi.

A więc dzisiaj leć co prędzej,
Biały orle, leć...
Budź uśpionych, krzep zwątpionych
Męztwo, zapał nieć!

A jak wszyscy zrozumieją,
Orle, hasło Twe
I proporce się rozchwieją
Na nieb jasnem tle...

To — nadejdzie czas odwetu,
Bóg doda nam sił,
A my Polskę odbudujem
Z żywych ludzkich brył.

*Stefania Szybowiczówna.*

# PROCESYA BOŻEGO CIAŁA.



Kraków, który jest tak drogi dla nas Polaków i tyle posiada pamiątek katolickich i narodowych, sławny jest z tego, że nigdzie na całym świecie uroczysta procesya Bożego Ciała nie odbywa się z taką wspaniałością, co w naszej starej stolicy. Porównać się z nią da chyba także sławna procesya wielkopiątkowa w Sewilli w Hiszpanii. Z rozmaitych kościołów zbierają się bractwa z obrazami, feretronami, chorągwiami, muzyką, poczem spieszą, śpiewając, do katedry na Wawelu a stamtąd towarzyszą nieprzeliczonym zastępom kapłanów w wielkiej procesyi naokoło Rynku. W procesyi bierze udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi miejskich i wsiowych, cały Rynek jest zapełniony głowa przy głowie. Zbieranie się takie bractw przy kościele św. Barbary, koło kościoła Najś. Maryi Panny, namalował sławny malarz polski Lipiński i obraz ten tu podajemy.

## Legenda o zbożu.

Szepnęła mi to na ucho stara baśń, odwieczna polska legenda; ale ani matka moja tych czasów nie pamięta, ani nawet moja biała prababcia, która przesiaduje dzień cały przy turkoczącym kołowrotku i przędzie... przędzie... dla wnucząt... dla siebie.

Było to wtedy, gdy Pan Jezus żył na ziemi, gdy był, jak wy, jeszcze dzieckiem i biegał bosemi nóżkami od świtu do zmierzchu po łące i po borze. Bywało, że w biegu spostrzegł jakiś rozkwitły pączek, albo trawkę już wybujałą, więc przystawał, cieszył się i patrzył.

Później wzrok Dzieciątka padał znów na kwiatki, z kwiatków na ptaszki, z ptaszków na motyle, a z motyli na ludzi: wtedy zamyślał się głęboko.

Myślał o tem, że na świecie są smutni i głodni, a wówczas serce jego napełniało się głębokim żalem.

Raz biegł, zazwyczaj po polu, dopóki się nie zmęczył, a gdy się zmęczył, usiadł w słaniającą się ruń zboża i z kłosków zielonych układał małe krzyżyki. A trzeba wam wiedzieć, że zboże w owe czasy nie dojrzewało nigdy i zawsze było zielone, jako trawki na łące, a ludzie nie mieli zeń pożytku.

Układało sobie Dzieciątko krzyżyki, układało, a tak prędziutko, że aż kłosy migały w palcach; układało, aż się zmęczyło, a gdy się zmęczyło, podniosło główkę do góry i twarz jego, pracą zarumienioną, rozpromieniło słonko.

Dzieciątko uśmiechnęło się.

— Jakie one dobre — pomyślało — gdyby nie ono, nie dojrzewałyby ani buraki, ani kukurydza, ani nic zgoła i zimno byłoby tym wszystkim, których nie stać na ciepłe odzienie. Ono karmi, odziewa i stroi — dokończyło ciszej i wróciło do swoich krzyżyków.

Słonko tymczasem wznosiło się coraz wyżej i grzało tak, jakby pragnęło powiedzieć: »chwaliłeś słusznie«. A Dzieciątko podniosło oczy do góry, tak prosto w słonko, że aż ćmiło i aż dwie łezki stoczyły się po jego twarzy. Uśmiechnęło się, posłało od ust całusa świetlanej bryle i rzekło:

— Gdyby ludzie mieli na ziemi takiego przyjaciela, jakim ty im jesteś na niebie, byłoby mniej głodu.

Słonko nic nie odpowiedziało, bo słonko przecież mówić nie umie, tylko rozświetliło się jeszcze bardziej i złotym snopem opromieniło łan zielony, w którym siedziała Dziecina. Nie uszło to jego uwagi, to też wpół żartem, wpół seryo przyjęło to za odpowiedź.

— Ejże — powiedział Jezus, patrząc w górę — wskazujesz mi zboże! Ależ ono takie zielone! I jakiż z niego ludziom pożytek? czyż ono może się z tobą równać? Aby ci dorównać, musiałoby być inne.

Ale jakieby być musiało, by ludziom służyć, tego Dziecina sama nie wiedziała, więc się zamyśliła.

— Musiałoby mieć inną barwę — rzekła po chwili i wróciła do swojej roboty.

Myśl ta jednak nie dawała mu spokoju; Dzieciątko zastanawiało się więc, jakby to na pożytek dla ludzi ubarwić zboże.

— Może mogłoby być lazurowe, jak niebo nad naszemi głowami, jak kwiatki nad ruczajem i oczy niektórych ludzi?

Tu Dzieciątko wsparło główkę na ręku i myślało znowu, ale po chwili nie chciało już, aby łan zboża błękitniał jak niebo, bo cóż z tego za korzyść?

Układało więc dalej krzyżyki, ale nie o krzyżykach myślało, jeno o nędzy i zbożu.

— A gdyby było czerwone? — zawołało Dzieciątko i ucieszyło się, że mieć może krasę maków i purpurę zachodzącego słońca. Po chwili jednak wzdrygnęło się całe, przypomniało mu się bowiem, że zboże zdala wyglądaćby mogło, jako krwawa rzeka, albo jako łan krwawy, a Dzieciątko nasze nie mogło myśleć bez zgrozy o krwi rozlanej.

Znowu więc do krzyżyków mały Jezus powrócił i znowu o krzyżykach nie myślał, tylko o tem, jakby na pożytek dla ludzi zboże ukolorować.

— A gdyby było fijołkowe, jako te dzwonki polne, które zda się, że obciążone rosą zadzwonią »dziń, dziń« na dzień dobry.

Już klasnęło Dzieciątko w rączki, już się prawie zdecydowało, wtem się wstrzymało, bo choć oko ludzkie nęciłoby takie zboże, to dla ludzkiej niedoli żaden z tego pożytek.

Tak przeszedł mały Jezus w myśli wszystkie niemal barwy tęczy, ale nie znalazł odpowiedniego koloru. Przypomniał więc sobie te pierwsze kwiatki, które wyrastają z pod śniegu i zapowiadają wiosnę stroskanym ludziom i już, już chciał obielić zboże, gdy biały gołąbek ukazał się w oddali i leciał ku niemu. A gdy gołąbek nad główką Jezusową zawisnął, rozzłociły go promienie słońca, ptak cały rozognił się blaskiem najcudowniejszym i wyglądał tak, jakby nie on światło pochłaniał, ale siał światło.

— Złote, złote niech będzie zboże i niech dojrzewa ludziom na pożytek — zawołał — i niechaj będzie dla ludzi takim dobrem na ziemi, jakim jest na niebie słoneczko.

Tak chciał mały Jezus, ale nie wiedział wcale o wielkiej mocy swojej woli. Jako gołąb rozzłocił się od słońca, tak złotem światłem rozpromieniło się każde źdźbło i każdy kłosek, a cały łan był złocisty i był błogosławiony.

Z wielkiego, wielkiego szczęścia, jak kłosy złotem, tak liczka Jezusa biły różowością, rączki jego klaskały w błogiem uradowaniu, a nóżki jego skakały i biegały. Wielka dusza Chrystusowa małego Dzieciątka święciła wzniosłe święto!

A gdy burzliwa radość pierwszej chwili poczęła ustępować i zostało błogie ukojenie i radość spokojna, Dziecina usiadła w zbożu, zatopiła obie rączki w złocistej toni kłosów i bawiła się... bawiła...

Potem znowu układał krzyżyki i rozkładał je półkolem na ziemi naokoło siebie.

Mały Jezus spieszył się bardzo ze swoją robotą, bo myślał, że gdy słońce zajdzie za górę i zabierze ze sobą blask swój złoty, zmieni się kolor zboża i ruń zielona znów łan okryje.

Chciał się więc nabawić póki można; bawił się, bawił i tak bardzo o krzyżykach rozmyślał, że ani zoczył, jak to słonko pochylało się coraz niżej i niżej, jak zakrwawiło się blaskami zachodu i znikło ze ziemi.

Nad ziemią zapadł wtedy smutny, chłodny i szary zmierzch.

Wśród tej szarzyzny zostało tylko zboże, promieniejące złotem, dojrzałe, urodzajne, tak jak Pan Jezus chciał w swojej miłości Chrystusowej.

## Gawędy o różnych sprawach.

### Szkoły rolnicze.

Galicyę nazywa się krajem rolniczym, bo znaczna większość ludności zajmuje się uprawą roli. W tym kraju więc, gdzie niema rozwiniętego ani handlu, ani przemysłu, przynajmniej rolnictwo powinno kwitnąć. Ale, niestety, tak nie jest. Nauka rolnictwa stoi już bardzo wysoko, lecz nasi włościanie niewiele o niej wiedzą i uprawiają ziemię tak, jak ich pradziadowie. To też sąsiedzi nasi, Czesi, z powodu umiejętnej uprawy roli mają z rolnictwa dwa a nawet trzy razy więcej dochodu, nie mówiąc o innych narodach np. o Francyi, gdzie nieraz jeden morg potrafi dobrze wyżywić całą rodzinę. Jak można dobrze uprawiać ziemię i jak wielkie z niej ciągnąć zyski, to się widzi w kilku miejscach koło Krakowa. Np. wykształcony ogrodnik wydzierżawia morg ziemi, a ponieważ w Krakowie ziemia jest droga, więc płaci ogromny czynsz dzierżawy, 140 kor. rocznie. Sadzi na tym morgu wolno lub w oranżeryach rozmaite warzywa, które mają odbyt w mieście i za które drogo płacą, pielęgnuje także kwiaty, cały dzień, od rana do nocy, jest wraz z całą rodziną na tym jednym morgu ziemi i ma zawsze wiele do roboty. Ten jeden morg, mimo ogromnego czynszu potrafi wyżywić jego żonę i dzieci, opłacić wysoki czynsz i zapewne jeszcze coś uciułać.

O takim zysku naturalnie nasz, zdala od wielkiego miasta osiadły włościanin, marzyć nie może, bo u nas zimny klimat i naszego najlepiej uprawionego wina niktby do ust nie wziął. Ale też o tem się nie mówi, czego nie można osiągnąć. Nikt jednak nie zaprzeczy, że można u nas daleko lepiej uprawiać rolę i lepsze hodować owoce. Co do owoców, to nasz kraj stoi już tak nisko, że co lepsze jabłko lub gruszka, to pochodzi z zagranicy. Po miastach naszych kwaśnych owoców nawet nie chcą kupować i wolą płacić drogo za obce, ale dobre.

Chcąc podnieść rolnictwo, kraj nasz zakłada w rozmaitych miejscowościach szkoły rolnicze.

W zarządzie kraju pozostają następujące instytucye przeznaczone do szerzenia wiedzy zawodowej wśród ludności rolniczej: 1) siedm wyższych szkół rolniczych; 2) dwie zimowe szkoły rolnicze; 3) zakład sadowniczy w Zaleszczykach i szkoła ogrodnicza na Wulce kapitańskiej pod Lwowem; 4) dwóch krajowych instruktorów sadownictwa w powiatach krakowskim i lwowskim; 5) Biuro mleczarskie przy Wydziale krajowym i szkoła mleczarska w Rzeszowie; 6) stacye doświadczalne rolnicze w Dublanach i we Lwowie, służące większej i mniejszej własności ziemskiej. Wśród tych zakładów pierwsze miejsce zajmują niższe szkoły rolnicze, na tych bowiem zakładach spoczywa główne zadanie szerzenia wiedzy rolniczej wśród ludności wiejskiej. Te szkoły jednak nie odpowiadają temu celowi, dla którego są przeznaczone. Uboga młodzież włościańska, ukończywszy taką szkołę, nie powraca do rodzinnej zagrody, aby do niej wnieść postęp i umiejętną uprawę roli, lecz przeciwnie, przeważnie je opuszcza, obierając służbę w większych majątkach ziemskich. Tak więc i ta próba, aby podnieść w ten sposób gospodarstwa włościańskie, nie udaje się a także dlatego, że dorosły młodzieniec jest w gospodarstwie włościańskim potrzebną siłą rolniczą, więc oddanie tego, często niezbędnego pomocnika na dłuższy czas, nieraz kilka lat, do szkoły rolniczej, jest według zapatrywań gospodarzy za wielką ofiarą i uszczerbkiem dla gospodarstw.

# O babie co ozora za zębami trzymać nie umiała.

Oroł se chłop pod ozimine takie pole, co na niem było dużo kamini. Uwadziuł pługiem o kamiń — kamiń sie rusuł — chłop patrzy, a tu pod kaminiem kocioł piniędzy. Prawie juz było pod wiecór, to tyz przykrył kocioł tem kaminiem, dooroł do wiecora — jakby nic — bo sie boł, ze go kto wypatrzy. Jego baba straśnie duzo cięgiem godała, tak, ze gemba nigdy nie stanyła. Po kolacyje pado niby do swoji, ze pódzie z wołami na dworskie paświsko na całom noc.

— Ino — pado — nie mów nikomu. — Tak mu baba uwierzyła. Ón se nabroł worków, wzion woły i poszeł w pole po piniondze. Nabroł we worki, przywionzoł na wołach, popos ich w rzecy trochę i wróciuł do domu po cichu, zeby baba nie słysała. Dopiro pomirzoł ćwierciom te piniondze i schowoł w stodole pod przycieś. Jak mirzoł, jeden dukot złoty wpod za obronckę od ćwierci, ale nie zobocył.



Na drugi dzień baba na cosi ćwierci potrzebowała tak zobocyła tego dukata za obronckom. Tak biere zaroz tego dukata i leci do chłopa i pado:

— Coś ty dukaty ćwierciom mierzuł?

On se myśli tak: prendzy, cy późni babie powiedzieć musi — tak wzion i powiedzioł ji.

— Ale, pado, nie godaj nikomu; pole je panowe to i piniondze nam odbierom. Jak nie powisz, to ci kupie co kces, ale nie godoj.

Tak una mu obiecnena, ale ón ta nie głupi był babie uwierzyć. Tak pojechoł z niom do Kałusyna, pokupił ji rózności, a potem pado do ni:

— Pódźwa do karcmy.

Tak pośli do karcmy, kozoł dać gorzołki i kiełbasy, ale tam belo kielku chłopów, tak im mówi, zeby jego baba nie słysała:

— Postawie wom dwie kwarty gorzołki, pijta prendko i uciekojta.

Oni tak zrobili, a baba się pyto, co jem tak pilno.

— A bo, pado, pośli dziedzica gonić, ze pokrod śwynie.



Tak się baba zcudowała, ze, pado, dziedzic śwynie kradnie. Przyjechali do domu, tak chłop wzion zajonca, wsadziuł babie do skrzynki, a kupiuł w mieście u zyda karasków i poprzywienzywoł na śliwach w ogrodzie. Potem posed na dach, ułapoł gołembia, zarznoł go kozikiem, zeby krew kuminem kapała i posed do izby, a tu baba mówi mu:

— Wis, cerwony dysc padoł:

— Nie dziwota, bo chmury przysły od cerwonego morzo. — Potem pado: — Schowoj te piniendze do skrzynki.

Baba idzie do skrzynki, otwiro, a tu zajonc hip! Tak sie baba jesce gorzy zcudowała.

Chłop ji pado:

— Kiedy króle mogom sie mieć pod piecem, to cego zajonc ni mo sie mieć we krzynce.

Baba już tak łbem kręci, co ozora w gębie utrzymać ni może, ale nic.

A ón pada:

— Wis co?... tak me poli we wnętrzu od ty gorzołki co my ją pili w Kałusynie!... Idź do sadu i przynieś mi pore śliwek.

Tak ona posła, ale juz wiency nie przysła, bo jak obocyła karasie na śliwach, to sie o mało nie przewróciła, potem skocyła na wieś i jak zacena wszyćko opowiadać i o tych pieniondzach i o tym zajoncu i o dyscu cerwonym i o tych karaskach, tylko o dziedzicu nie godała. Lotała tak bez całom noc, az na drugi dziń do połednia i prec godała; dopiro jak ji gemba spuchła przyszła do dom.

Dowiedzioł sie dziedzic we wsi, ze chłop naloz piniondze, tak posłoł po niego lokaja, coby przysed zaroz do niego do dwora.

Rod nie rod posed chłop do dwora. Jak przysed, tak dziedzic na niego zaroz:

— Cyj gront — pado — mój cy twój?

— A juści, z przeprosenięm jelemoznego dziedzica, niby naprzudzi boski, a potem pański.

— Kiej gront je mój — pado — to piniondze, któreś naloz — pado — moje!

— Jakie z przeprosenięm jelemoznego dziedzica?

— No te, coś naloz.

— Jo z przeprosenięm jelemoznego dziedzica zadnych pinięndzy nie naloz.

— Nie łzyj — pado — chłopie, bo twoja baba bez całom noc po wsi lotała i wszyćkim ozpowiadała,ześ piniondze wielgie naloz.

— Niech jelemozny dziedzic nie słucho, co ona plecie, bo ona jest głupio: nie dobrze mo we głowie, z przeproszeniem niby jelemoznego dziedzica.

Tak dziedzic kazoł lokajowi, zeby przyprowadziuł te babe. Tak lokaj zaroz te babe przyprowadził.

Tak dziedzic pado: — No godoj, co i jak i kiedy było, jak twój chłop te piniondze naloz.

Baba pado: — Prosem sie łaski jelemoznego dziedzica, to było wtedy akurat, jak ten cerwony dysc padoł.

— Jaki dysc? — pado dziedzic.

— Ano cerwony dysc, z przeprosenięm niby jelemoznego dziedzica.

Tak dziedzic se myśli: coś ta baba cheba głupio, ale pyta sie znowu:

— No, co było, jak było, godoj!

— Prosem sie łaski jelemoznego dziedzica, to było akurat, jak sie u nas we skrzynce zajonce miały i jak sie karasie na śliwak pluskały.

Tak dziedzic se myśli: widać ze ta baba mo całkiem łeb przekrencony, ale ze był chłop wesoły, tak go to bawiło, ze babsko takie baje osmólone plecie, tak pado:

— Godoj wszyćko, bo cie kaze zerznąć batem.

Tak baba pado: Doprosom sie łaski jelemoznego dziedzica, ale dali juz tego nic nie moge powiedzieć.

— Cego? Godoj zaroz!

— O ty świni jelemozny dziedzic przecie juz wiedzom!

— Juści wiem — pado (bo mu pore dni temu kormnom maciore ukradli).

— Ha no, kiej tak, to juz powiem. To było z przeprosENiem jelemoznego dziedzica tego samego dnia, jak niby jelemozny dziedzic świnie ukrod i chłopy wos przez Kałusyn gonili.

Tego juz było za duzo dziedzicowi i kozoł lokajom babe dobrze obić, coby głupstwów na niego takich wiency nie godała i pado do tego chłopa:

— No — pado — mos babe, co mo karasie na śliwak a kiełbie we łbie. A dołóz ji ta w domu jesce lepsi!

I tak te piniendze chłop se uratowoł.

## Moja wioska.

Nad pałace, zamki, grody,
Tłumnych ulic gwarę miejską,
Górnych jezior głębie, brody,
Przenoszę mą ustroń wiejską.

W podkarpackiej leży stronie,
W modrej Białe stopy myje,
Piękno i czar od niej wionie,
Gdy ją zieleń, kwiat pokryje.

Kiedy wiosny pierwsze tchnienie
Przejdzie przez mej wioski łany,
Zewsząd słychać ptasząt pienie,
Ożywiają się kurhany.

Gdy wiosenny wietrzyk w lesie
Zagra hejnał cichy, tkliwy,
Piosnkę ranną rosa niesie,
Koi żale, ból tęskliwy.

Kiedy w lesie dzięcioł stuka,
Słowik w gąszczu głośno bije,
Serce serca woła, szuka,
Człowiek w wiośnie życia żyje.

W wonny, skwarny dzień lipcowy
Chór żniwiarzy piosnkę nuci,
Łan złocisty pszenicowy
Niesie echo, już nie wróci".

Wykąpana w perłach rosy
Złoto brała z zórz jasności;
Słyszę w sercu tajne głosy:
„Zbieraj coś posiał w młodości".

Płacze niebo, bór się żali,
Deszcz jesienny w szyby pluszcze,
Pasterz zamilkł, wraca z hali,
Wokół nędzy, smutku puszcze.

Lasek zamiast godnej szaty
Mdłe konary wznosi w górę,
Człek zgarbiony pracą, laty,
To jesieni ma naturę.

Gdy całunem śnieg martwota
Pokryje, co jesień zrani,
Dobro życia, brudy, błota,
Kryje można Śmierci Pani.

Wiosko moja! Ty mój raju!
Ja się cieszę płaczę z Tobą,
Jak ty wiosnę miałem w maju,
Daj mi spocząć razem z sobą.

*Jan Cetera.*



## MACIEK BZDURA GADA:

Same kosta ozeniacki przed weselem są okrutecne i kazdy mniej zawzięty człowiek na zeniackę przestraszyłby się ich, przez co wolałby kamienie tłuc, jak się zenić. Ale ze mną to nie śpasy! Jak się na co uwezmę, to dokonać musę, choćby mi, nie wiem co, przeskadzało. Postanowiłem se, że przestanę kandydować i przestałem, choć mnie o kandydowanie wszyćkie wsiepolaki prosiły — postanowiłem się o enić, to się ozenię, choćby mi nawet gospodyni abraniali i choćby kosta były jak najwięksiejse.

Do wesela narachowałem w tamtę niedzielę moc pieniędzy, bo koronę, dwie szóstki i pięć nowych, ale to wszyćko bagatela przed okrutecnemi wydatkami na samo wesele.

Wszyćkim przecie dokumentnie wiadomo, ze gości na takiem sławnem weselu trza godnie przyjąć, bo jakby się niewiela najedli, toby mnie potem obgadali. Choć co prawda to oni mnie ta i tak obgadają, bo to juz taki zwycaj. Ale la wszelkiego prześpieczeństwa trzaby kupić choć z ćwiartkę kapusty, ze śtyry ćwierci zimioków, no i mąki z pół worka, zeby była wyzyrka galantna. A ze to umyśnie ludzie ustanowili wesela nie w poście, ino w insy cas, coby se mogli dobrze zjeść, trzaby takoj kupić z funt spyrki i z osełkę masła kuli okrasy.

La wsiowych ludzi toby to był bal galantny, ino gorzy z miastowymi, bo będą i miastowe!...

Ja chcę zaprosić gazeciarzów na starostów — a tych z durkarni, co moje gadania do durku układają, na druzbów; a Kaśka się upira, ze będzie na druchny prosić wszyćkie dzieuchy z durkarni od masyny. Dobrze to prosić, ale co takiem dać jeść, to sam nie wiem. Cięgiem to wszyćko ino gmyrze w papirach, to niewiadomo, cyby się chyciło zimiaków abo kapusty, cy jem tez trzeba jakie jedzenie z papirów zrobić.

A teraz napitek! Co prawda Smul mi tam nie drogo porachuje, bo powiada, ze on z ludzi nie ździra ino chłopom robi specyalną fajn wódeckę. Spirytusu nie leje duzo, zeby ludziom nie darł grdyki, ale zato wody nie załuje. Aby ludziska nie narzykali, ze gorzałka za słaba i po garle nie drapie, to dosypuje do niej wapna. Pijak się tam na takich specyjałach wiele nie rozumie, to wypije, a zyd pieniądze weźmie, bo o to mu tylko chodzi.

La tych więc, co to chleptać śmierdziuchę lubią, trzaby wziąć jej bez mała garniec, a la porządniejszych gości haraku z pół kwarty.

Będzie mnie to wszyćko kosztować huk piniędzy, ze i kandydowanie tylaby nie kostowało, ale cóz robić? Ludzie pilą do zeniacki, lata są, uroda jest, ino baby brak, to o nią się trza postarać.

Takie mi się dziś melankolijne gadanie wyrychtowało, ale trudno, bo tez i małzeństwo to nie zadne śpasy, ale wielga i wazna rzec, o której to na przysłą niedzielę więcy

# Schwytanie Bąka.

**(Nowela — z obrazkami Ks. Władysława Staicha).**

(Ciąg dalszy).

Była to chata starego Szymona Mikuły, który teraz w obszernej i niskiej izbie siedział na zydlu, przy ustach trzymając wielką glinianą fajkę, na krótkim cybuchu osadzoną. Miał zapewne lat przeszło sześćdziesiąt, lecz nie wyglądał wcale na jednego z tych ojców rodzin, których synowie okładają razami, lub z pod strzechy, już ich nie potrzebującej, wypędzają. Na tle odymionej ściany, o którą opierał szerokie i trochę tylko przygarbione plecy, w mdłem świetle palącej się na stole lampki z wysokim kominkiem, postać jego, w białe płótno przyodziana, zarysowywała linie potężne; grube kłęby dymu, które nieustannie z ust wypuszczał, zasłaniały, to odsłaniały głowę wielką, nad czołem wyłysiałą — a z tyłu otoczoną wieńcem siwych włosów i rysy duże, ściągłe, rumianą cerą powleczone, bujnym, twardym wąsem zjeżone, oświecone dwojgiem oczu błyszczących i mądrych, które z pod gęstych i obwisłych brwi spoglądały ze spokojną energią i ostrą przenikliwością.



Ręce jego, z których jednę zasunął pod przepasującą koszulę czerwoną taśmę, a drugą trzymał fajkę przy ustach, wielkie, silne, żylaste, zdradzały przechowaną wybornie zdolność do pracy i żelazną siłę ujęcia. Łatwo było domyśleć się, że gdy ten starzec wstanie, wyprostuje się i przemówi, wszyscy tu obecni spiesznie i pilnie spełnią wszystko, cokolwiek im spełnić rozkaże. Obecnych zaś w izbie tej było wielu, a wszyscy w tej chwili siedzieli lub stali nieruchomo, w milczeniu, w postawach takich, w jakich uwagę ich i ciekawość pochwyciło opowiadanie.

Pośrodku izby stał opowiadający. Był to młodszy z dwóch synów Mikuły, trzydziestoletni, wysoki, zgrabny człowiek, którego postawa i ubiór okazywały pewność siebie, połączoną z dążeniem ku niejakiej już wytworności. Tylko co snać powrócił z drogi, bo trzymał jeszcze bicz, którym w podróży konie poganiał i z żywemi gestami ramion i głowy opowiadał:

— Dalibóg, prawdę mówię! Żebym zdechł, jeżeli kłamię! Cały świat był dziś w miasteczku i wszyscy tak o tem gadali, że i targu żadnego nie było. Wszyscy gadają, że to jest Bąk, ten sam, co to lat temu dziesięć ze spólnikami, żeby im dobra nie było! troje ludzi zamordował.

— Żydów, zdaje się, czy co? — rękę ku włosom niosąc, mruknął ponury bednarz.

— A toż — potwierdził opowiadający — dwóch żydów i jednę babę, co wtedy u nich nocowała, zamordowali, a całego bogactwa trzydzieści *rublów* u nich znaleźli. Wtenczas jego złapali i przekonali się, że to ten sam Bąk, który już przez kilka lat gdzieściś indziej w dalekich stronach dokazywał... Kramy odbijał, pieniądze *chfałszował* i tylko tyle, że jeszcze nie zabijał... Aż tu i zabijać zaczął... aż tu i sąd nad nim zrobili, do katorgi jego osądzili i na wieczne czasy na Sybir osądzili, a on uciekł z turmy. Uciekł szelma, odzienie inne włożył i na robotnika do jakiejś *chfabryki* poszedł. Poszedł na robotnika do jakiejś *chfabryki* i był tam rok, dwa roki, trzy roki, za fałszywym paszportem był... Aż i tam jego złapali i bili — gadają, że sto pletni szelma dostał.

— Wytrzymał! Ot mój Boże! i wytrzymał! — zauważyła gospodyni.

— Ale! — wykrzyknął opowiadający — *czort* duszy jego nie wziął! W *bolnicy* trochę poleżał, i w Sybir go pognali. Zagnali go het, aż na sam koniec świata, żeby już drugi raz nie uciekał. A on wziął i taki uciekł.

— Z katorgi uciekł? — fajkę z ust wyjmując, po raz pierwszy odezwał się stary Mikuła.

— Ale tatku, z katorgi, był tam rok, dwa roki, aż nogi wziął za pas i hajda w świat! Słyszę, po calutkiem cesarstwie pisma rozesłali. Do gubernatorów i do policmajstrów, i do *stanowych**) i do *wołostnych kancelaryj* pisma rozesłali, że mówią taki a taki z katorgi uciekł, że mówią, szukać jego i łapać wszystkim, kto tylko żyje przykazuje się. Słyszę, po calutkiem cesarstwie szukali, rok, dwa roki szukali, aż ot!... *Kab jeho wołki zduszyły... tut* znaleźli...

— *Hdzie?* — ozwał się znów Mikuła — *hdzie tut* znaleźli? Durne gadanie.

— Dalibóg tatku! — *Tut* znaleźli... o dwie mile od nas siedział, w *chfabryce* znów robotnikiem był, za fałszywym paszportem znów był. Ot i fałszywy paszport poznali, ot już i łapać mieli, a on wziął i znów uciekł...

Sam jeden śmiał się, inni milczeli, a Mikuła brwi ściągając, zapytał:

— A nie *breszesz* Aleksy? A nie wymyślił, żeby baby straszyć?...

Teraz, młody chłop, strwożone nieco spojrzenie zrazu na ojca rzuciwszy, z obrazą odpowiedział:

— Jeżeli ja łgę, to i pisarz łże. Od pisarza ja najwięcej nasłuchał się o tej awanturze, bo do kancelaryi pismo przyszło, że on tu tylko co był i znów przepadł, to *musi* jeszcze daleko nie zaszedł, to żeby jego szukać i łapać, takie pismo przyszło.

— Może i *chfotografią* przysłali do kancelaryi? — zapytał bednarz.

— Z takich jak on *chfotografii* nie rysują, z innych rysują... Ale pisarz mówił, że pismo przyszło... Szukajcie, mówi, jeżeli Boga kochacie, szukajcie, a to, mówi całemu światu wielka bieda będzie... Rozboje będą, mówi, złodziejstwa, grabieże będą, to i to będzie... A jak jego kto złapie, to zaraz do turmy odstawim, mówi. Już teraz, mówi, nie sto pletni, jak wprzódy, ale dwieście jemu wsadzą za to, że drugi raz uciekał, w kajdany mocne, żelazne okują i na calutkie już życie do katorgi zaprzęgną, ot tak!

*) »Stanowy«, urzędnik okręgu policyjnego, »wołostny«, urzędnik gminny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# KRONIKA.

**Poświęcenie kamienia węgielnego.** W drugi dzień Zielonych świąt, t. j. 5 czerwca, odbyła się wspaniała uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowo budujący się kościół we wsi Zdrochcu. Poświęcenia dokonał Przewielebny dziekan ks. Antoni Kmietowicz z Radłowa, wobec bardzo licznie zgromadzonej ludności z okolicznych wsi oraz z miasta Radłowa. Popołudniu o godz. 2·30 przybyła procesya z Radłowa pod przewodnictwem Przew. ks. dziekana A. Kmietowicza i Wiel. ks. Jana Suwady i ks. Kołodzieja, poprzedzana przez banderyę włościańską. — Procesyę przywitała straż pożarna z Przybysławic i dzieci szkolne pod przewodnictwem kierownika tutejszej szkoły p. Maślanki, a dziewczęta ubrane w białe sukienki, otoczyły duchowieństwo zielonym wieńcem i przeprowadziły je przed kamień węgielny. Po odśpiewaniu pieśni »Serdeczna Matko i modłach wygłosił podniosłe kazanie okolicznościowe Wiel. ks. Jan Suwada, zajmujący się sprawą budowy kościoła i cieszący się powszechną sympatyą tutejszej ludności, a później odczytał dokument, który zamurowano. Po poświęceniu odbyła się zabawa, podczas której wzniesiono toasty na cześć osób, będących głównymi czynnikami w rozpoczęciu budowy kościoła, jakoteż i mieszkańców wsi Zdrochca i Marcinkowic, którzy mimo pożaru, niszczącego prawie połowę Zdrochca, nie opuścili rąk, lecz wzięli się energicznie do pracy koło budowy kościoła z tem przekonaniem, że ich Bóg nie opuści w tej zbożnej sprawie. — Cześć mieszkańcom Zdrochca i Marcinkowic.

**Pożar w Bronowicach Wielkich.** Dn. 8 czerwca popołudniu spłonęło w Bronowicach Wielkich, pod Krakowem, 14 zagród włościańskich, 8 stodół, część inwentarza żywego i większa ilość zboża. Wicher jakoteż brak wody utrudniał ratunek, prowadzony przez wszystkie okoliczne straże pożarne. Nadbiegli do pożaru z okolicznych wsi włościanie, kobiety, studenci, a nawet dzieci, energicznie wedle sił swoich pomagali w ugaszeniu pożaru. Po kilkogodzinnem zmaganiu się z rozszalałym żywiołem, udało się resztę nieobjętych pożarem domów odciąć od morza płomieni, które zalewane obficie wodą, zaczęły zwolna dogasać. Szkoda wynosi 50.000 koron. Domy zniszczone przez pożar należały przeważnie do biednych wyrobników. Zawiązał się na miejscu komitet, mający na celu zbieranie składek dla nieszczęśliwych pogorzelców. Kilkanaście bowiem rodzin włościańskich zostało bez środków do życia i dachu nad głową.

Niniejszy numer jest **ostatnim**, z wysyłanych na okaz bezpłatnie. Ktoby więc chciał nadal „Rolę" otrzymywać, a w niej rozpoczynające się w lipcu **dwie nowe powieści**, niech **bezwłocznie** nadeśle prenumeratę za czas **do końca grudnia b. r.** w kwocie **tylko 2 Koron**, za co otrzyma 27 numerów drugiego półrocza wraz z przesyłką pocztową.
Pieniądze przesyłać można przekazem pocztowym, albo można kartą korespondencyjną zażądać czeków pocztowej Kasy Oszczędności, który odwrotnie wyślemy, a w tym wypadku przesyłka pieniędzy nic nie będzie kosztować. — **Adres Redakcyi „Roli": Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

**Straszna katastrofa w gorzelni.** W gorzelni w Pieniakach, w okolicy Brodów, zdarzył się w maju okropny wypadek. Do wywozu okowity zajechało kilkanaście fur. Gdy część beczek napełniono już okowitą i włożono na wozy, przy wtaczaniu pustej beczki na wagę do magazynu, nastąpił tak silny wybuch, że wyrwał oba dna żelaznej beczki. Górne dno, które siłą wybuchu wyleciało w górę, jednemu z ludzi toczących beczkę urwało głowę, dolne dno drugiemu połamało nogi i poszarpało ubranie. Siła wybuchu była olbrzymia: mur gorzelni się zarysował, okna wyleciały z ramami.



Przyczyną strasznego wybuchu było wrzucenie do pustej beczki dynamitu, czy innej materyi wybuchowej. Nie wyjaśniono dotąd, kto dokonał tego zbrodniczego czynu, ani z jakich powodów. O pół kilometra oddalony dwór właściciela Pieniak p. Cieńskiego, wstrząsł się cały a sam właściciel z domownikami udał się w tej chwili na miejsce, by sprawdzić wypadek i nieść pomoc nieszczęśliwym. Pierwsza ofiara wypadku ma poszarpaną literalnie głowę, drugiemu pierwszego opatrunku udzielił sam właściciel. Któż jednak wróci stratę, poniesioną przez rodziny tak pierwszego jak i drugiego, gdy przyczyny wypadku trudno dociec? Okropny wypadek spowodował taki popłoch wśród zebranych furmanów, że pozrzucali beczki z wozów i próżno wracali.

(J. Cz.) **Morderstwo w Gliniku charzewskim,** (w powiecie strzyżowskim). W nocy z 30 na 31 maja 1911 na osobie Antoniego Kiernoża popełnione zostało morderstwo. A było to tak: Antoni Kiernoż, rodem z Zaborowa, ożeniwszy się przed paru laty w Brzezówce, w powiecie strzyżowskim, przyszedł odwiedzić swoje trzy córki w Zaborowiu, a że lubił zaglądać często do kieliszka, więc podpiwszy sobie u jednej córki, powracał wieczór do domu. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, więc zmuszony był zanocować u jednego gospodarza, nazwiskiem Mierzwy, w Gliniku. Ten Mierzwa wyprawiał swej córce wesele. Żona Mierzwy kazała Kiernozowi pójść spać do stodoły w nocy z 30 na 31 maja. — Mierzwa i zięć jego dowiedziawszy się, że jakiś człowiek nieznany leży w stodole pijany, poszli obaj i poczęli go bić i wodą na niego lać, a gdy ludzie słyszący razy i gwałt, przyszli i oderwali zbójów, on już był mało żywy. Zawieziono go do doktora w Strzyżowie. Doktor skonstatował, że ma żebra połamane i oko wybite i nieborak walczy już ze śmiercią. — Morderców wzięto za kratki więzienne. Co to pijaństwo robi! Ludzie chrońcie się pijaństwa.

(F. K.) **Skutki nieostrożnej zabawki.** W Dziećmorowicach na Śląsku austr. 1. czerwca pasterze pasący na wspólnem pastwisku bydło bawili się strzelaniem z rurki, podczas czego przez jakiś nieostrożny ruch rurka została wycelowana w serce, główki z zapałek wybuchły i pasterz został zabity na miejscu, pozostawiając rodziców w ciężkiej żałobie. Oto skutek nieostrożnej zabawki.

(K. F.) **Przysypany gliną.** Dnia 6 czerwca b. r. w Zabłociu, na Śląsku austr., w fabryce cegły został zabity robotnik zajęty kopaniem gliny, która już przed świętami była zwisająca, przez święta popękała, a kiedy we wtorek robotnicy przyszli do zwykłej pracy, brzeg się oderwał i spadł na jednego robotnika, zabijając go na miejscu.

(F. K.) **Dwa pożary.** We czwartek dnia 8 b. m. w Rychwałdzie na Śląsku austr. wybuchł pożar w gospodarstwie p. Drapy, któremu towarzyszył gwałtowny wiatr, utrudniający ratunek. Spłonęła stodoła i dom ze stodołą złączony, ale z izb wyratowano wszystko. Przyczyna pożaru dotąd nieznana.

Jeszcze mieszkeńcy w okolicy Rychwałdu nie ochłonęli z wrażenia od pierwszego dnia, gdy piszczałki kopalniane dały znać o drugim pożarze. — O godz. 7.30 wieczorem 8 b. m. spłonęła z niewiadomej przyczyny stodoła, szopy i chlewy rolnika niejakiego Walenki. Ponieważ większa część domowników pracowała w polu, kawał od domu, przeto nie zdołano wyratować ani maszyn rolniczych; zgorzały 2 świnie, 3 kozy i 25 kur i 20 cetnarów siana. Asekurowana była tylko stodoła.

(F. K.) **Śmierć w nurtach wody.** Dn. 9 czerwca b. r. w Wierzniowicach, na Śląsku austryackim, utonął w Olzie niejaki Rychter, 15-letni młodzieniec. Rychter utonął przez swą nieostrożność, gdyż, nie umiejąc całkiem dobrze pływać, poszedł wraz z innymi na miejsce bardzo głębokie, gdzie byliby potonęli wszyscy, gdyby jeden z towarzystwa, silny i dobry pływak, nie był ich wyratował, z wyjątkiem jednego, którego nie udało mu się wyciągnąć.

**Ukradziony dom.** Przy sprycie i bezczelności wszystko na świecie ukraść można — nawet dom. Wydaje się to żartem, a jednak następujący wypadek, który zdarzył się w mieście Temeszwarze na Węgrzech, przekonuje, że jednak to jest możebne. Przybył niedawno temu do Temeszwaru jakiś nieznajomy, postawny i dostatnio przedstawiający się pan, niby to przedsiębiorca budowlany, pokręcił się parę dni po mieście, następnie zniknął i pojawił się znów na czele 30 robotników, zwerbowanych na wsi. Z tymi robotnikami udał się na jednę z oddalonych ulic, pokazał im opuszczony, niezamieszkany piętrowy budynek, należący do właściciela gorzelni i kazał go burzyć. W ciągu trzech dni pospiesznej roboty rozebrali dom prawie do fundamentów a przedsiębiorczy pan sprzedał odrazu pewnemu żydkowi 43.500 cegieł.





Naraz czwartego dnia przybył na miejsce komisarz policyi z agentami i począł pytać robotników, pracujących dalej około rozbierania resztek murów, gdzie jest przedsiębiorca, który ich do tej roboty najął. Odpowiedzieli, że spodziewają się go lada chwila, gdyż o tej porze poprzednich dni bywał już tutaj zawsze. Komisarz zostawił na miejscu agenta i odszedł. Nieznajomy »przedsiębiorca budowlany« wszakże nie pokazał się już więcej. Umknął w nie wiadomym kierunku, zabrawszy pieniądze za cegły. Policya wdrożyła za nim dochodzenia. Robotnicy wrócili do domów oszukani, bo za pracę nic im nie zapłacił. Tak to sprytny łotrzyk potrafił w dużem mieście w biały dzień ukraść — kamienicę! Nasze obrazki przedstawiają ją, gdy jeszcze stała na swem miejscu — i gdy skradziona zniknęła z szeregu innych domów.

**Odważny leśniczy.** Włóczący się ustawicznie po świecie naród cygański różnych chwyta się sposobów, aby zdobyć środki do życia, z wyjątkiem wszakże najpewniejszego — to jest pracy. Nie zawsze jednak cyganie ograniczają się do żebraniny, na którą wyprawiają dzieci lub wróżenia, w czem przodują sprytne cyganki, wyłudzają za swe niedorzeczne bajania datki pieniężne. Gdzie się da, cyganie kradną, szczególnie konie, a gdzie kraść nie można, to nawet do rozbojów się biorą. Niedawno w pewnym lesie w Czechach, w pobliżu Budziejowic, zdarzył się następujący wypadek. W godzinie przedwieczornej szedł ścieżką leśną, zmierzając ku domowi, z dubeltówką na ramieniu młody leśniczy Różyczka. Zamyślony nie zwrócił uwagi, że opodal coś podejrzanie zaszeleściło w krzakach; naraz jak z pod ziemi wyrósł mu przed oczyma rosły, obdarty cygan i grożąc sztyletem, domagał się pieniędzy.



Leśniczy Różyczka, widocznie człowiek odważny i wielkiej przytomności umysłu, nie wdawał się z włóczęgą w żadne rozmowy, lecz uskoczywszy w bok, w okamgnieniu zerwał z ramienia strzelbę i uderzywszy w piersi niebezpiecznego opryszka, powalił go na ziemię. Lecz nie na tem miał skończyć się napad cygański, bo po krótkiej chwili wynurzył się z za drzew drugi cygan, również uzbrojony i chciał rzucić się na leśniczego. Ten wszakże nie dopuścił go do siebie, lecz z odległości kilku kroków wystrzałem skierowanym w nogi i tego cygana powalił. Obrazek nasz przedstawia ten napad, który nie spowodował złych następstw dla leśniczego, dzięki jego sile i przytomności umysłu.

**Śmiertelny skok do wody.** Niedawno temu odbywały się w Budapeszcie ćwiczenia pływackie. Wśród popisów pływackich zdarzył się jednak śmiertelny wypadek. 17 letni uczeń szkoły handlowej Michał Csipcsala wykonał skok pływacki z mostu Elżbiety do Dunaju. Kilka tysięcy widzów przypatrywało się tej niebezpiecznej sztuce. Csipcsala skoczył z wysokości 30 metrów do Dunaju, ale ku przerażeniu widzów nie wypłynął już na powierzchnię wody. Próby wydobycia go były daremne. Csipcsala był znanym pływakiem popisowym i zdobył już kilka nagród. Niestety ostatni jego popis zakończył się śmiercią odważnego młodzieńca.

**Wyzyskiwanie wychodźców.** Bank emigracyjny »Universale« w Wiedniu został przez władze zamknięty, gdyż stwierdzono, że od dłuższego czasu dopuszczał się wyzysku udających się na obczyznę wychodźców z Galicyi, Węgier i Rumunii.

**Napad na cyganów.** Jedenastu uzbrojonych w rewolwery bandytów napadło na koczujący w lasach rendzińskich pod Radomskiem. w Królestwie Polskiem, tabor cyganów. Bandyci okrążyli dokoła tabor, jedni trzymali cyganów w miejscu, nie dając im się ruszyć pod grozą śmierci, a drudzy rabowali kosztowności, których zabrali na sumę około 1300 rubli. Podczas bójki jeden z cyganów poniósł śmierć na miejscu. Bądź co bądź dobrze się dziać musiało tej bandzie cygańskiej, skoro bandyci mogli im zrabować kosztowności, przedstawiające tak wysoką wartość.

**Chłopiec podpalaczem.** Często zdarzają się po wsiach wypadki pożarów, spowodowane przez pozostawione w chatach dzieci, które, bawiąc się zapałkami, wzniecają ogień. We wsi Loręka, w Królestwie Polskiem, 10-letni chłopiec z żartów w samo południe podpalił stodołę. — Ogień w jednej chwili objął cały budynek i dosięgnął obory, a stąd przerzucił się na dom mieszkalny. Silny wiatr dopomagał szerzeniu się pożaru, to też, zanim go spostrzeżono i rzucono się do ratowania mienia, było już zapóźno. Spaliła się cała zagroda, koń, 2 krowy, 2 jałówki, kilkoro świń i niemal wszystkie sprzęty domowe. Straty wynoszą z górą 1000 rubli.

**57 morderstw na sumieniu.** O nieprawdopodobnym wprost zbrodniarzu donoszą gazety rosyjskie. Oto w mieście Carycynie aresztowano pewnego starego już człowieka pod zarzutem zabicia pewnego oficera i jego żony. W śledztwie ogarnęła łotra ochota mówienia prawdy i nietylko że nie zaparł się zarzuconego mu morderstwa, ale przyznał się, że w ciągu życia 57 ludzi zabił dla rabunku. Wśród ofiar swoich liczy 20 kobiet.

**Służbisty żołnierz.** Gazety rosyjskie donoszą o następującym wypadku: Żołnierz Mednikow stał 32 godziny bez przerwy na posterunku przy prochowni oddalonej 3 kilometry od Żytomierza. Zapomniano o nim zupełnie dlatego, że komendant odwachu, rotmistrz odebrał sobie życie, przegrawszy znaczną sumę w karty. Żołnierz wytrwał do ostatniej chwili, ale był tak osłabiony, że musiano go odwieźć do szpitala. Car Mikołaj, którego o wypadku tym powiadomiono, zamianował Mednikowa podoficerem i ofiarował mu 25 rubli.

**Pies policyjny odkrył winnego.** W dyrekcyi policyi, we Frankfurcie nad Menem, zjawił się robotnik Bittner i oświadczył, iż żona jego Ella pozbawiła się życia w pobliskim lesie. Na miejsce wypadku udała się komisya sądowo-lekarska, która znalazła trupa Bittnerowej w miejscu przez jej męża dokładnie określonem. Ponieważ zachowanie się Bittnera wydało się jednemu z ajentów wysoce podejrzanem, zadano mu nagłe pytanie, czy Bittner sam raczej nie zamordował żony, na co ten zmieszał się, lecz oświadczył, iż jest niewinny, gdyż żona jego sama odebrała sobie życie wystrzałem ze świeżo kupionego rewolweru. Wtedy przyprowadzono psa policyjnego, któremu dano do powąchania rewolwer, leżący w pobliżu zwłok kobiety. Mądre zwierzę, idąc za węchem, rzuciło się na Bittnera i obaliło go na ziemię. Było to dla policyi znakiem, iż rewolwer znajdować się musiał w ręku Bittnera. Istotnie przerażony robotnik przyznał się do zbrodni wśród szlochania. Jako powód czynu podał, iż żona zdradzała go z jego chlebodawcą.

**Pruskie „baranie głowy“.** W miasteczku Liebstadt w Prusach wschodnich, odbyło się niedawno temu poświęcenie nowo wybudowanego kościoła ewangelickiego. Podczas uczty, która potem nastąpiła, wniósł jeden z obecnych zdrowie cesarza Wilhelma, przyczem rzekł między innemi: »Wobec cesarza jesteśmy wszyscy, wybaczcie mi panowie to dosadne wyrażenie, baraniemi głowami, tak bardzo wielkim jest jego umysł, wszystko pojmujący, obejmujący i przetwarzający« Kto wie, czy mowca za te słowa nie dostanie od cesarza Wilhelma jakiego obrazu, przedstawiającego — baranią głowę. Cesarz ten bowiem lubi rozsyłać na znak łaski różne podarki.

**Ręka stercząca z trumny.** Pewnej młodej, niedawno poślubionej, parze małżeńskiej w Lotaryngii, w Niemczech, zdarzył się bardzo niezwykły wypadek. Młodzi małżonkowie wybrali się pewnego popołudnia do pięknie położonej na zalesionem wzgórzu wsi. Droga wśród lasu była uciążliwa, młodym się nie spieszyło, a tymczasem, jak to często w lecie bywa, na pogodne niebo wypłynęły ciemne chmury, zaczęło grzmieć, błyskawice jęły przelatywać, pioruny bić stronami, przyczem puścił się ulewny deszcz. Szczęściem pod wiszącą nakształt okapu skałą znaleźli schronienie przed ulewą, zatrzymali się więc tam, aby przeczekać deszcz. Młodą kobietę zaczęła jednak po chwili zastanawiać oparta wśród drzew opodal jakaś wysoka skrzynka, której kształtów rozeznać dobrze nie było można z powodu zmroku, spowodowanego burzą i zasnutem chmurami niebem. Gdy deszcz przycichnął, wysunęła się ku ciekawemu sprzętowi, lecz gdy stanęła przed nim krzyknęła z przestrachu. Mąż podbiegł ku niej i przekonali się oboje, że to była oparta o pień drzewa zupełnie nowa trumna.



Wtem wewnątrz trumny dał się słyszeć szmer i z pod wieka wychyliła się ręka ludzka. Kobieta omal z trwogi nie zemdlała, lecz w tejże chwili odsunęło się wieko i przed osłupiałą ze zdziwienia parą stanął młody mężczyzna.

— Nie bójcie się państwo — rzekł z uśmiechem — nie jestem nieboszczykiem. Sporządziłem trumnę i niosłem ją do wsi. Deszcz mnie zaskoczył, więc skryłem się w niej, a przed chwilą wystawiłem rękę, aby się przekonać, czy jeszcze deszcz pada. — I niezwykła na pozór przygoda z trumną w lesie i tajemniczą ręką zamieniła się tylko w osobliwe i zabawne wydarzenie, o którem młodzi państwo opowiadali tego wieczoru rodzinie i znajomym.

**Zbrodnicze życie, marna śmierć.** Dziwne doprawdy zaślepienie skłania ludzi do bandyckiego, rozbójniczego życia. Krótko każdy z nich bawi się i hula za zrabowane pieniądze. Prędzej czy później dostaje się na wiele lat do więzienia, albo na szubienicę, albo ginie od kuli żandarma. I duszę gubi i życia na świecie wcześnie nie użyje. — O marnej śmierci czterech bandytów donoszą właśnie pisma warszawskie. Dnia 25 maja włościanie z Nowowilanówki w Królestwie, łowiąc ryby w Wiśle, wydobyli z wody zwłoki mężczyzny, w ubraniu, w wieku około 25—30 lat. Przy oględzinach trupa znaleziono dwie rany postrzałowe: jednę na głowie, drugą na szyi. Wieszeniach ubrania było 216 rubli, notatnik,

z którego nie można nic odczytać, szczotka, latarka elektryczna i zegarek. Są to zwłoki jednego z bandytów, który przed dwoma miesiącami napadli na handlarzy nierogacizny, jadących z Puław do guberni radomskiej. Opryszków ścigała wówczas policya. Trzej bandyci padli od kul strażników ziemskich, czwarty ciężko ranny rzucił się do Wisły i utonął. Nazwiska bandyty dotychczas nie ustalono. Zwłoki leżały w wodzie 6 do 7 tygodni.

**Niebezpieczny świadek ślubu.** W Szwajcaryi oprócz ślubu kościelnego, odbywa się osobny tak zwany ślub cywilny, który oczywiście nie jest niczem innem, jak spisaniem protokołu. Przed urzędnikiem magistratu zjawiła się młoda para, by zawrzeć ze sobą związek małżeński. Papiery mieli nowożeńcy w porządku i dlatego nie robił im urzędnik żadnych trudności. — Zabrakło im jednak świadka. Postanowiono więc sprowadzić pierwszego lepszego człowieka, napotkanego na ulicy. »Pech« chciał, iż był to urzędnik policyjny. Zaledwie usłyszał on nazwisko kandydata do stanu małżeńskiego, ujął delikatnie lecz silnie nowożeńca i oświadczył mu dobitnie: »W imieniu prawa aresztuję pana!« Okazało się, że szczęśliwy nowożeniec jest złodziejem, poszukiwanym przez władze. Ślub ten oczywiście nie doszedł do skutku, bo panna młoda za złodzieja wyjść nie chciała.

**Samobójstwo we śnie.** Czy jest możliwem podobne samobójstwo? Każdy człowiek, obdarzony zdrowym rozsądkiem, odpowiada, że: nie. Możliwem jest samobójstwo w chwili obłędu, gdy człowiek nie wie, co czyni, ale wśród snu, w łóżku, to chyba bajka. Gazety amerykańskie jednak niedawno temu opowiadały o takim niezwykłym wypadku, a opowiadały w tak przekonywujący sposób, że z pewnością niejeden łatwowierny czytelnik uwierzył. Zastrzelił się w nocy niespodziewanie w Filadelfii pewien bogaty i lubiany powszechnie przemysłowiec, kawaler, człowiek dobry i łagodny, który nie miał do rozpaczliwego kroku żadnej zgoła przyczyny. Krewni, zastawszy go nazajutrz martwego w łóżku z rewolwerem w zastygłej ręce, nie mogli odgadnąć przyczyny nieszczęścia.



Ponieważ śmierć była zagadkową, więc dzienniki pisząc o niej, zaczęły wpadać na różne domysły, aż ustaliły bajkę, że nieboszczyk zastrzelił się śpiąc. Wywnioskowali to stąd, że na stoliczku przy łóżku znaleźli książkę, gdzie jest przedstawiony człowiek odbierający sobie życie. Samobójca, twierdzą, tak przejął się ową książką, że we śnie sięgnął po rewolwer, odciągnął cyngiel i strzałem w prawą skroń pozbawił się życia. Ciekawy musiał być sen, podczas którego wszystko to możnaby uczynić! Wyobrażono sobie nawet, jak ta chwila się przedstawiała, wyrysowano odpowiedni obrazek, który podały i gazety w Europie, wraz z opisem tego niezwykłego samobójstwa. Nam się wydaje, że samobójstwo we śnie, to bajka.

**Sześć białych duchów.** W Jassach, w Rumunii, siedziało raz wieczorem kilku oficerów w restauracyi i jedząc kolacyę, przy dobrem winie gawędziło o różnych rzeczach. Rozmowa zeszła na duchy. Jeden z oficerów zapewniał, że przed paru laty w starym dworze na wsi, o północy spotkał na kurytarzu ducha, który wcale się nie nastraszył jego krzyku, ani jego szabli. Kilkakrotnie nawet ciął nią widmo, to wszakże się nie ruszyło. Ostatecznie uciekł stamtąd wystraszony i od owego zdarzenia w tym dworze więcej nie bywał. Na to zaczął się śmiać jeden z obecnych, porucznik Vessinac, dowodząc, że to musiało być jakieś przywidzenie. Twierdził, że w duchy nie wierzy, nie widział nigdy żadnego, a gdyby ujrzał w nocy jakieś widmo, toby to był oczywiście ktoś z żartu przebrany.

Po dłuższym czasie, gdy porucznik Vessinac zapomniał już o tej rozmowie o duchach, wrócił raz przed północą do swego kawalerskiego mieszkania i położył się spać. Leżał już w półśnie, gdy posłyszał w pokoju jakieś niezwykłe szmery i ciche stąpania; zaświecił zapałkę i w jej blasku ujrzał sześć białych widm, posuwających się cicho ku jego łóżku. Rozśmieszyło go to i rzekł wesoło:

— A, kochane duchy, jak się macie, bardzo mi miło powitać was w moim domu! Nie boję się was ani trochę, nie chciejcie więc mnie straszyć, bądźcie tylko tak uprzejme i wynieście się jak najprędzej.



To rzekłszy, odwrócił się plecami do białych duchów i starał się usnąć. Ale nie mógł w żaden sposób. Rozdrażniony tem, zaświecił znowu zapałkę. Patrzy — duchy stoją w tem samem miejscu, jakby wrośnięte do podłogi. Porwała go złość. Zawołał w pasyi:

— Słuchajcie, dosyć tych żartów! Gdy naliczę do trzech, a wy nie pójdziecie sobie do wszystkich dyabłów, słowo honoru daję, że strzelam! A więc: raz.

Duchy się nie ruszyły.

— Dwa! — krzyknął groźnie.

Duchy nic. Stoją milcząco, jak stały.

— Trzy! — ryknął w srogim gniewie.

I to nie pomogło. Duchy nie ustępowały.

Wówczas chwycił, leżący na nocnej szafeczce przy łóżku, sześciostrzałowy nabity rewolwer i dławiąc się od wściekłego gniewu, rzekł ochryple:

— W tej chwili precz, albo strzelam!

Ale żadne widmo się nie ruszyło. Porucznik pociągnął za cyngel — padł strzał. Jedno z widm jakby poruszyło się lekko, lecz zostało dalej w miejscu. Biednemu oficerowi zimny pot oblał czoło — i w rozpaczliwej trwodze, mierząc do widm, wystrzelił pozostałe pięć naboi.

A tajemnicze widma stały dalej nieporuszone!!

Nagle porucznik wydał zdławiony okrzyk i padł plecami na poduszki. Była to chwila groźnej ciszy. Głowy »duchów« zaczęły się poruszać; ozwały się szepty: »Cóż to? on się nie odzywa! Może mu się co stało? Jezus, Marya! Może umarł ze strachu!

I w okamgnieniu sześciu oficerów, kolegów porucznika Vessinaca, zrzuciło białe prześcieradła z ramion. Trwoga przyszła teraz na wesołych figlarzy, co chcieli kolegę duchami postraszyć. Zaświecili świecę i rzucili się na ratunek leżącego bez znaku życia kolegi. Lecz nie oddychał już — i serce nie biło. Gwałt się zrobił w domu, wezwano lekarza, lecz ten stwierdził, że porucznik Vessinac zmarł nagle skutkiem udaru serca.

Przyczyną bezskuteczności strzałów było to, że z namowy oficerów służący porucznika, wtajemniczony w ten figiel, powykręcał owego wieczora kule z naboi rewolweru. I to też było przyczyną śmierci porucznika. Widząc, że po strzałach widma stoją dalej na miejscu nieporuszone, uwierzył, że to duchy i wskutek nieopisanej trwogi padł trupem. Tak to smutno skończył się, przedstawiony na powyższym obrazku, żart wesołych oficerów, którzy zań odpowiedzą przed sądem wojskowym.

**Milionowe spadki.** Od czasu do czasu pojawiają się w polskich gazetach wiadomości, że jakiś Polak, od wielu lat zamieszkały w Ameryce, dorobiwszy się tam milionów dolarów, zmarł, nie zostawiwszy spadkobierców. Natomiast dziesiątki, ba, setki ludzi tego nazwiska w Polsce rozpoczyna starania o zdobycie tego spadku. W miarę rozwoju tych starań i zgłaszania się nowych kandydatów do amerykańskich milionów, ciekawość u czytelników gazet wzrasta, aż wkońcu dowiadujemy się, że ów nieboszczyk w Ameryce żadnego majątku nie zostawił, i cała historya o spadku była bajką. Przed kilku laty pewien urzędnik Wydziału krajowego, dowiedziawszy się, że jakiś bogaty jego krewny umarł na drugiej półkuli, popłynął nawet do Ameryki po miliony. Lecz rozczarował się, bo ich wcale nie było. Teraz znów rozpuściły gazety wiadomość, że po zmarłym w Londynie Warszawianinie, Michale Markowskim, pozostał spadek wartości 50 milionów. — Wieść ta poruszyła wszystkie osoby, które noszą to nazwisko. Bardziej zapalni nawiązali stosunki bezpośrednie z władzami londyńskiemi, inni Markowscy powierzyli dochodzenia swoje adwokatom, jeden zaś zwrócił się z zapytaniem do konsula angielskiego. Ten wszakże odpowiedział, że wiadomość o spadku jest zupełnie zmyśloną.

**Porwanie dziecka milionera.** Niedawno temu, jak donoszą z Nowego Jorku, uprowadzono tam pewnemu milionerowi trzyletniego chłopaczka. Porwania dziecka dokonali złoczyńcy z bezczelną śmiałością podczas przechadzki w jednym z licznie uczęszczanych ogrodów publicznych, gdy dziecko odbiegło o kilkanaście kroków od idącej z niem nauczycielki. W kilka dni później rodzice zostali zawiadomieni, że dziecko ich poniesie straszną śmierć, jeśli nie złożą 10 tysięcy dolarów okupu. Naturalnie zestrachani zaraz ten okup złożyli. W ostatnich czasach ponawiają się w Nowym Jorku ciągle fakta uprowadzenia dzieci bogaczy i żądania za nie okupu.

**Sposób na żebraninę.** Jedna z gazet podaje dowcipny sposób na żebraków, nie będących kalekami, którzy jeszcze mogliby pracować. Oto zamiast jako odczepne dać żebrakowi jałmużnę, a tem samem popierać próżniactwo, włóczęgostwo i pijaństwo, lepiej kazać mu coś zrobić za zapłatę w domu, jeśli jaka robota znajdzie się pod ręką. Niezawsze, co prawda, sposób ten da się zastosować, bo gdy np. przyjdzie po żebraninie cyganka, to trudno ją puścić czy na obejście między drób, czy do stajni, aby tam jaką pracę wykonała, gdyż trzebaby nad nią stać, aby czego nie ukradła. Nie tak to więc łatwo dać pracę zdrowym włóczęgom.

**Ludzie okrutniejsi od drapieżnych zwierząt.** Zwierzęta drapieżne, żywiące się mięsem, aby zaspokoić głód chwytają inne, rozdzierają je, chlepczą krew i zjadają mięso. Czynią tak, bo taka jest już ich natura, taki sposób żywienia się. Mimo to człowiek drapieżników nie cierpi i tępi je zapamiętale na polowaniach. Cóż dopiero myśleć o ludziach, którzy przecież mają rozum i serce i świadomi są swych czynów, gdy bez przyczyny, tylko dla nasycenia się okrucieństwem, znęcają się nad niemogącemi bronić się ofiarami. A niestety ludzie tacy przytrafiają się niekiedy. — Gazety angielskie donoszą o następującym wypadku: Związek narodowy dla ochrony dzieci w Anglii wykrył i podał do sądu dwoje zbrodniarzy, którzy pastwili się w sposób nieludzki nad przyjętą przez nich do służby 13-letnią dziewczyną. Podczas procesu wyszły na jaw szczegóły, budzące grozę i przerażenie. Główną oskarżoną była niejaka Marya Wilesmith, kobieta sześćdziesięcioletnia, która wzięła do swego domu trzynastoletnią Florentynę Pastorfield wskutek ogłoszenia, jasno wskazującego, że matka dziewczyny chce się jej pozbyć na zawsze. To przeświadczenie, że nikt się o biedne dziecko nie upomni, uczyniło ze starej Wilesmith okrutnicę. Dziewczynka stała się w jej domu zupełną niewolnicą, katowaną w nieludzki sposób. Stara jędza biła ją bez litości, do krwi. A gdy dziewczyna miała już całe ciało w ranach, wtedy kazała wspólnikowi swojemu, Turnerowi, zasypywać te krwawe rany solą. I Turner spełniał dziki, potworny rozkaz. Sąd przysięgłych skazał Maryę Wilesmith i Turnera na dwa lata więzienia z przymusowemi ciężkiemi robotami. Karę powitano w Anglii z wielkiem zadowoleniem, bo nieraz takie fakty uchodziły tam dotychczas prawie bezkarnie, bo zbrodniarze, katujący nieletnich, wykręcali się grzywnami pieniężnemi.

**Pogoda a przysłowia ludowe.** Przysłowia ludowe są mądrością narodu, ktoś powiedział. Można dodać do tego, że są też poezyą. Niekiedy są one wprost zdumiewające swoją głębokością i trafnością, a najważniejsza, przeważnie sprawdzają się. Lud nasz zawsze głęboko religijny a przytem nie bez polotu, ma dużo dni w roku, do których przywiązuje szczególne znaczenie, a które unieśmiertelnił swemi pięknemi przysłowiami. »Sw. Agnieszka, wypuszcza skowronka z brzyzka (brzegu)« — powiada wtenczas, gdy rzeczywiście brzegi zwrócone na południe już odtajały, a chociaż śnieg leży wokoło, skowronek, ten pierwszy zwiastun nadchodzącej wiosny, raduje serca nadzieją. A potem o św. Marku, o 40 męczennikach, wreszcie o 7 braciach śpiących. I dnia św. Medarda nie pominął nasz lud i przywiązał do niego przepowiednię o pogodzie. Jeśli deszcz »w św. Medarda« to przez 40 następnych dni będzie »lało« w myśl przysłowia ludowego: »jak się św. Medard rozczuli — to będzie padać aż do Urszuli«. To też lud wyczekuje tego dnia jak wyroczni. Niestety tego roku św. Medard (8 czerwca) nie spisał się, jakkolwiek z drugiej strony mieliśmy obok mżącego kilkakrotnie deszczu, wcale słoneczne godziny; popołudnie było nawet przeważnie pogodne. Stąd wróżba, iż następnych 40 dni będą w połowie pogodne, w połowie deszczowe.

**20 dzieci rażonych piorunem.** Jak zwykle w lecie, tak i obecnie zdarzają się nieszczęśliwe wypadki śmierci z powodu pioruna. Niezwykłe wszakże nieszczęście zaszło na Węgrzech w mieście Rima-Szombat. Oto w dzień Zielonych świąt w orszak dzieci szkolnych, wracających z kościoła, uderzył piorun. Dwadzieścioro dzieci zostało porażonych przez grom, z tych kilka zabitych na miejscu.

## Odpowiedzi Redakcyi.

**Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.**

PP.: Tylka Wojciech: Opowiadanie o muzykancie w piekle otrzymaliśmy i wydrukujemy. — Teofil Tryczyński w N.: »Modlitwa« i »Hymn do Polski« nadeszły i będą drukowane. — Badowski Władysław w T.: Numerami od początku roku nie możemy służyć, gdyż nam ich brak, wobec czego prenumeratę liczymy od 1 czerwca 1911 r. do 1 czerwca 1912 r. — Jan Zając w P.: Przy zmianie adresu trzeba koniecznie nietylko stary, ale i nowy adres podać. — Józef Stalmach w Z: Wysyłamy najregularniej w krzyżowej opasce, więc niemożliwe aky w drodze ginęło. Najprawdopodobniej przepada gdzieś w miejscu. — Jan Dida w M.: Aby adres zmienić, trzeba przysłać 40 hal. — Stanisław Połomski w Sz.: »Gazeta katolicka« nie wychodzi, o zwrot pieniędzy trzeba się upomnieć u wydawcy, a jeżeli nie zwróci, można sprawę oddać adwokatowi. — Ktoś z Łuczanowic reklamuje numer 23 a nie napisał nazwiska — wobec tego nie wiemy komu go posłać. — Wojciech Żak w P.: Zagadki będą, ale kiedy to nie wiemy, gdyż ich mamy setki. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Zagadki dobre; za miłe dla nas słowa serdeczne dzięki. — T. Gromek w Sz.: Teraz już zapóźno i nic nie pomoże. Smutno to, że tacy ludzie dochodzą do zaszczytów w gminie. — Jan Cetera w Ch.: Wierszyki otrzymaliśmy, a że dobre, więc będą drukowane. Winieta również będzie umieszczona. Dziękujemy. — Franc. Krzanowski w J. p.: Fotografie, o ile dobre, byłyby nam do kalendarza pożądane, aby dać jednak stanowczą odpowiedź, musielibyśmy wpierw je zobaczyć. — Adela Babiakowa w U. D.: Zagadki umieścimy.— Andrzej Marcinkowski w B. R.: Wiersz p. t.: »Jaś Złotogoleńczyk« był już w innem piśmie drukowany, a my tylko o własne utwory prosimy. Zagadki poprzednio nadesłane umieścimy. — Teofil Tryczyński w N.: Za artykuł dziękujemy, umieścimy. — Franciszek Kapałka w G.: Numeru 2 już nie mamy, inne wyślemy, ale należy się za nie 70 h. — Wyborca z S.: List polecający kandydata przyszedł zapóźno, gdyż wybory w Waszym okręgu odbyły się 13 b. m. — Pelagia Raźna: Maciek za pamięć dziękuje. — »Górnik«: Szarady umieścimy. — Jan Moś w Cz.: Za miłe słowa pochwały serdeczne dzięki. Prenumeratorów przybywa, bo ludzie mądrzeją i wolą czytać rzeczy wartościowe, jak ujadania stronnicze.

**Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.**

### Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.:

Józef Jórasz z K. (2 K.), Gleń Piotr z Cz. (2 K.). Woreczek Ludwik z N. (2 K.), Funiok Józef z K.), Nowy Dzwon z Ch. (6 K.), Leon Longawa z T. (4 K.), Kubiena Sylw. z K. (2 K.), Alojzy Palowski z S. (2 K.), Władysław Wroński z R. (1.50 K.), Józef Szczur z B. (2 K.), Józef Stawowczyk z O. (2 K), Wincenty Nikiel z K. (2 K.), Jan Topolski z Cz. (2 K.), Wojciech Skimina z Sz. (2 K.), Józefa Gudzowa z B. (2 Kor.), Branicki Bartłomiej z T. (2 Kor.), W. Sibiga z Ch. (2 K.), Jan Kazimierz Wajdowicz z W. (2 Kor.), Marya Tokarz z K. (2 K.), Stefan Leja z G. (2 K.), Józef Malica z R. (2 K.), Kazimierz Wyka z K. (2 K.), Józef Sowa z K. (2 K) Ignacy Byrski z K. (2 K.), Jan Łaskawski z G. (2 K.), Wojciech Pachut z D. P. (2 Kor.), Lis Michał z Ch. (2 Kor.), Wojciech Ożóg z O. (2 K.).

**Ceny bydła** na targowicy krakowskiej w dniu 13 czerwca:

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Buhaje | Kor | 180 | do | 200 | za sztukę | |
| Woły | „ | — | „ | — | „ | |
| Krowy | „ | 170 | „ | 270 | „ | |
| Jałówki | „ | 120 | „ | 140 | „ | |
| Cielęta | „ | 28 | „ | 70 | „ | |
| Owce i kozy | „ | — | „ | — | „ | |
| Świnie (bita waga) | „ | 144 | „ | 159 | za 50 kg. | |

**Ceny zboża** na targu Kleparskim w Krakowie w d. 13 czerw:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Pszenica | Kor. | 11·40 | do | 12·— | za 50 kg. |
| Żyto | „ | 8.25 | „ | 8.50 | „ |
| Jęczmień | „ | 7.40 | „ | 8·30 | „ |
| Owies | „ | 9·— | „ | 9.90 | „ |
| Otręby pszenne | „ | 5·75 | „ | 5·95 | „ |
| Otręby żytnie | „ | 5·75 | „ | 5·85 | „ |

# Zagadki do nagrody.

### 1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Karol Baron z P.).

† . . a Rzeka w Galicyi.
† . . a Schowek na papiery.
† . . a Część świata.
† . . a Środek kościoła.
† . . a Przyrząd do szycia.
† . . a Ptak nocny.
† . . a Rzeka w Polsce.
† . . a Przyrząd do grania.
† . . a Roślina motylkowa.
† . . a Płyn lub napój.
† . . a Wspak góry w Europie.
† . . a Potrzebna do pracy.
† . . a Popędza lokomotywy.
† . . a Wielka myśl.
† . . a Ochroniło rodzaj ludzki.
† . . a Część ciała.
† . . a Dopływ Dunaju.
† . . a Napój.
† . . a Część domu.

W miejsce krzyżyków i kropek wstawić odpowiednie litery, aby utworzyły 19 wyrazów zakończonych na a, których początkowe litery czytane z góry na dół w miejscach krzyżyków dały imię i nazwisko sławnego malarza i poety polskiego.

### 2. SZARADA.

(Ułożył Antoni Kościelny z Padwi).

Pierwsze - drugie ułuda, wstecz ozdobą bywa
Nie zawsze dzieła sztuki. Trzecie — dźwięk, oznacza,
Piękny, jeśli go ręka mistrza przeistacza
I mocą natchnień Bożych, z akordów dobywa.
Całość — miasto w Grecyi lub powieść dość znana,
W której Ujejski sławi bohaterów czyny
Za męstwo, kiedy dzielne ojczyzny swej syny,
Woleli śmierć, niż wlatę najeźdźcy-tyrana.

### 3. ZAGADKA.

(Ułożył Jan Płodzień z Ch.).

Leciało stado ptaków nad lasem, a gdy usiadły po dwa na każdem drzewie, jedno drzewo pozostało się bez ptaków, gdy zaś usiadły po jednemu, to dla jednego ptaka zabrakło drzewa. Ile było ptaków, a ile drzew?

### 4. KWADRAT.

(Ułożył Jan Głowacz z Ż.).

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| 1 | | | | | |
| | 2 | | | | |
| | | 3 | | | |
| | | | 4 | | |
| | | | | 5 | |
| | | | | | 6 |

1. Pomocnik proboszcza.
2. Rodzaj materyi.
3. Dopływ Sanu.
4. Krzew ogrodowy.
5. Drzewo.
6. Wschodnia Galicya.

W rządkach oznaczonych cyframi 1, 2, 3, 4, 5, 6, wstawić wyrazy, których znaczenie powyżej jest podane, w ten sposób, by litery wskazane przez 1, 2, 3, 4, 5, 6, dały tytuł najznakomitszego dzieła poety polskiego.

### 5. SZARADA.

(Ułożył Jan Skwara z T.).

Trzecie z pierwszem chodzi w parze
Z ludźmi w pawie cnoty strojnych;
Drugie z trzeciem w swej prostocie,
Gdy gosposia na wieczerze
Z kopca ziemniaków przyniesie,
Przeznacza się dla krów dojnych.
Co za całość?! Zgadnij bracie!
Pełno jest w polskiej krainie.
Lud pieniędzy szuka na nie,
Bo tam żyje i tam ginie.

### 6. SZARADA.

(Ułożył Piotr Załubski z Ł. D.).

Pierwsza z drugą, szlachetnych ludzi,
Do czynów wielkich zagrzewa,
Druga zaś z trzecią, narzędzie drwala,
Służy do rąbania drzewa.

Całość przedmiocik powszechny w świecie,
U palących go najczęściej znajdziecie.

### 7. SZARADA.

(Ułożył Kędzierski Piotr z P.).

Na pierwszem drugiem kto bywa w kościele
Może dla duszy zyskać bardzo wiele,
Drugie i trzecie najbiedniejszemu jakieś Pan [Bóg da,
Całość ten jest dobrym, kto go prawe ma.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 24 czerwca 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 23 *Roli*: 1) Zagadka: **Dar-rad,** 2. Męczygłówka: **Kosa, osa, kos,** 3. Szarada: **Parlament,** 4. Łamigłówka: **Kanarek,** 5. Przestawianka: **Konstytucya trzeciego maja,** 6. Szarada: **Zakopane,** 7. Łamigłówka: **Tygodnik obrazkowy „Rola“ na niedzielę ku pouczeniu i rozrywce.**

W oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:
I. Warzała z Ł., J. Gibas z P., J. Chmura z S., A. Żebrok z B., S. Misiewicz z Cz., A. Stana z W. g., J. Hirschberg z K., M. Gräliowa z M., A. Feber z S., J. Kapuściński z L., W. Kalityński z P., S. Zaucha z L. G., R. Kula z M. K., K. Żyła z F., J. Bożek z J., J. Waszek z J., K. Broda z R., M. Dudek z Ż., J. Burghardt z S., A. Warchoł z Z., W. Wołowiec z S., Lebiedzik F. z M. K., F. Teper z M. K., Szczyrba J. z C. g., J. Lach z B., A. Bezokówna z K. m., F. Szewczyk z R., A. Szarek z S. W., J. Moś z Cz., J. Liskowicz z K., S. Kumięga z T., T. Orzechowski z U., J. Głowacz z Ż., Koło »Macierzy Szkolnej« z S., F., Klocek z N. T., J. Brzeziański z K., K. Suchanek z W. g., J. Śliwiński z B., A. Marcinkowski z B. F. Święch z O., W. Badzioch z H., K. Suchodolski z H., W. Bober z H., P. Grudek z B. w., A. Janas z K., J. Janas z H., A. Konieczko z H., A. Rejman z Ł., P. Juroszek z I., W. Żak z P., Z. Bogdański z J., P. Bednarz z T., Fr. Kellner z P. L., Antoni Homa z M., Józef Dyba z Ł., Jędrzej Czarnik z Rz.

Pierwszą nagrodę p. t. *Na zamku nasielskim* wylosował p. **Jędrzej Czarnik** z Rz., zaś drugą p. t. *W Krzemieńcu* p. **J. Głowacz** z Ż.



**Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.**

**Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.**




**Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak.** **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
**Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.**